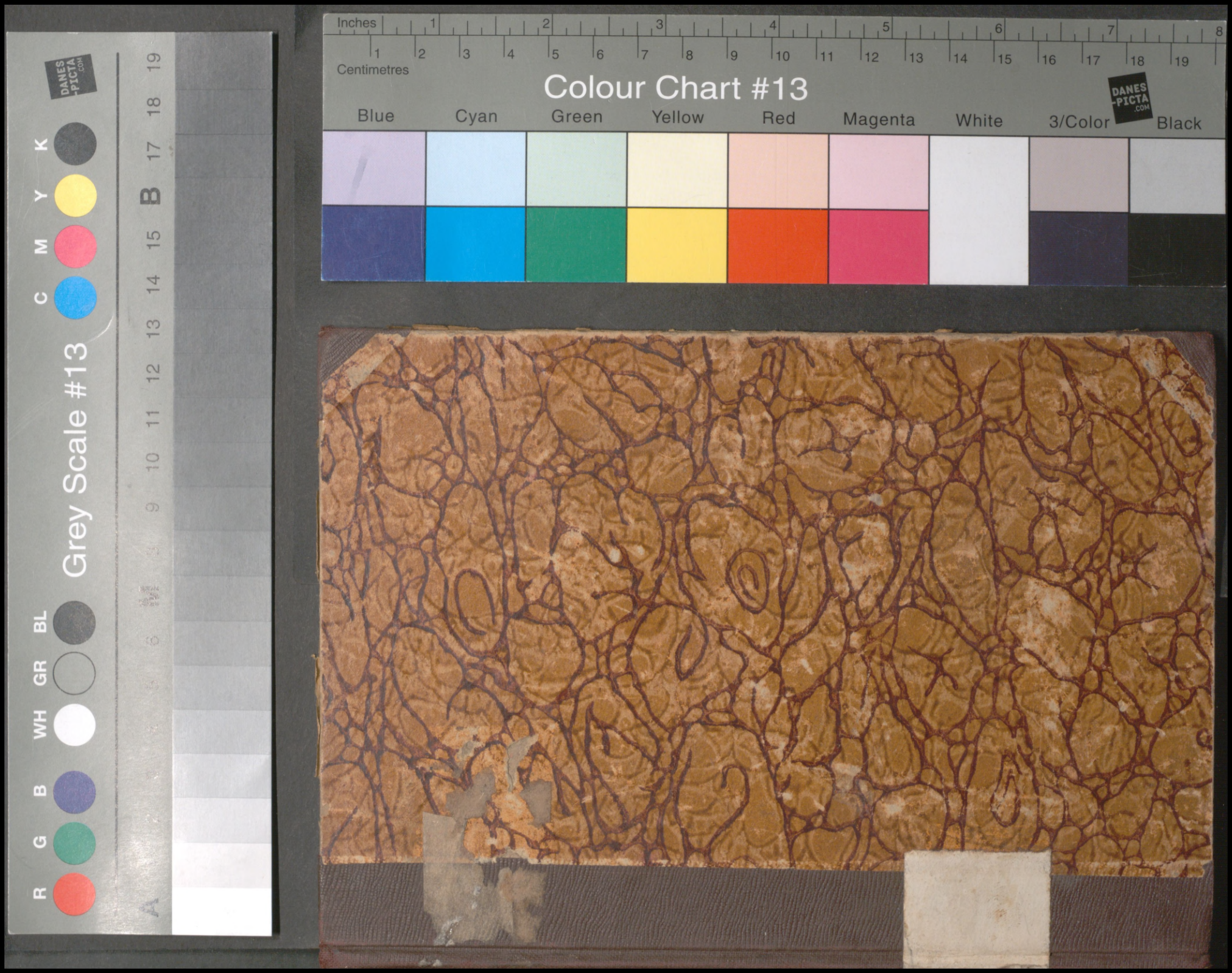
Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA.COM
Grey Scale #13
R G B WH GR BL
C M Y K

Warunki wypożyczania!

1. Książkę wypożycza się na okres 10 dni
2. Przekroczenie tego terminu pociąga za sobą opłatę w wysokości 5-zł tygodniowo, która przeznaczona będzie na remont książek.
3. Przetrzymanie książki ponad 20 dni uważane będzie za zagubienie jej i pociągnie za sobą zwrot kosztów książki.
4. Wypożyczać wolno tylko jedną książkę.
5. Wypożyczający obowiązany jest zwrócić książkę niezniszczoną i niepoplamioną

340
a

BIBLJOTEKA HISTORYCZNA
KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

ZDZISŁAW MORAWSKI

156

EPILOGI KRUCJAT

W XV WIEKU

Biblioteka Wojskowa
Nr.
49 PUŁK PIECHOTY

KRAKÓW 1924
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

ZDZISŁAW MORAWSKI

b 9

EPILOGI KRUCJAT

W XV WIEKU

I INNE STUDJA RENESANSOWE

Z 6 ILUSTRACJAMI

KRAKÓW 1924
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

sh. 12.6.

9715/1

I

PO WZIĘCIU KONSTANTYNOPOLA.

Jednego z pierwszych dni maja 1481 r., w zmierzchach zapadającego wieczoru, przesuwał się zbrojny orszak gwardji sułtańskiej przez wąskie uliczki Stambułu. Ludzie i konie byli zdrożeni, jak po długim marszu, a konwój otaczał niesioną pośrodku bogatą lektykę. Tylko szczelnie zasunięte firanki nie dozwalały zajrzeć do jej wnętrza. Dopiero kiedy pochód zniknął pod portykiem wielkiego seraju i bramy się za nim zawarły, gruchnęła po mieście wieść, że to sułtan Mahomet powrócił niespodzianie z Anatolji, dokąd był niedawno na nowe wyruszył boje. I w istocie, wracał to ów słynny z przed trzydziestu lat zdobywca Konstantynopola do stolicy, ale tym razem wracał do niej w trumnie. Śmierć zabrała go prawie nagle w obozie wśród anatolskich stepów, gdzie gotował się na walną rozprawę z rodyjskim Zakonem św. Jana. Że jednak przy zmianie rządów często wybuchały rozruchy i że sprawa następstwa tronu nie była jasno określoną, więc wielki wezyr postanowił zgon swojego pana utrzymać w tajemnicy, pókiby powiadomieni gońcami o śmierci ojca synowie zmarłego nie zdążyli przybyć ze swych azjatyckich obozów do stolicy i jeden z nich, jako nowy sułtan, nie objął w niej władzy.

Ze zmarłym Mahometem II znikał z widowni długoletni postrach chrześcijańskiego świata. Wygrana w przededniu jego panowania przez Turków bitwa pod Warną otworzyła mu zwycięski pochód na Europę, i słusznie mógł orator Kazimie-

rza Jagiellończyka, Lutek z Brzezia, w gromkich na sejmie w Ratyzbonie królom i książętom chrześcijańskim wyrzucać słowach,[1] że nie poszli za głosem króla Władysława: »bo żeby nie jego zgon, nigdy nie byliby Turcy śmieli targnąć się na Konstantynopol, aż dopiero po tym ciosie przyszedł upadek, po tej klęsce runęły w proch mury samego Bizancjum«. Istotnie bowiem upłynęło zaledwie lat dziewięć od klęski warneńskiej, kiedy Mahomet II, następca zwycięskiego w tej bitwie Amurata, zdobył w r. 1453 Konstantynopol.

Pierwszą wieść o pogromie Cesarstwa Wschodniego i towarzyszącej mu rzezi nad Bosforem otrzymali Wenecjanie; ale dokładną relację o tem, co zaszło, przywiózł dopiero później do Rzymu świadek naoczny wypadków, metropolita kijowski Izydor. Po zamordowaniu cesarza Konstantyna Paleologa przez dzikich zdobywców, wyratował się sam, jakby cudem, wdziewając na siebie świecki strój, ściągnięty z poległej jakiejś ofiary, którą dla zmylenia pościgu we własną, kardynalską przyoblekł szatę. Niepoznany, ale wzięty przecież w niewolę, zdołał zbiec i dotarł do Rzymu. Jego i innych uchodźców opowiadania wywołały ten skutek doraźny, że podjętą przez zasiadającego w owej chwili na stolicy Piotrowej Mikołaja V myśl krucjaty witano zrazu wszędzie z zapałem i że kornie słuchano bulli papieskiej, wzywającej wiernych na ratunek chrześcijaństwa. Posłuch ten nie płynął bynajmniej z litości nad losem podbitych Greków, którzy fałszem, obłudą i okazywaną przy każdej sposobności nienawiścią do łacińskiego Zachodu odstrychnęli go byli w ciągu wieków od siebie zupełnie. Ale odczuwano powszechnie, jak przełomowej doniosłości zaszedł fakt, skoro runął najstarszy twór polityczny świata, owo Cesarstwo Wschodnie, które przedstawiało bądź co bądź tradycję Konstantyna Wielkiego i Teodozjusza, a przetrwało o lat prawie tysiąc stare państwo rzymskie. Silniej zaś jeszcze

[1] *Codex epistol.* T. I, CXXXV.

działała na wszystkich trwoga o los własny, odkąd zawalił się mur, który odgraniczał chrześcijan od muzułmanów. Od stu lat bowiem, od zdobycia Adrianopola, a następnie rozgromienia Serbów na Kosowem Polu, ujawniał się coraz groźniej jakby żywiołowy pęd Turków na Zachód. Znano już tam coprawda islam od czasów osiedlenia się Maurów w Hiszpanji. Ale jeżeli arabskie szczepy wiodły zawsze ze sobą uczonych swoich, budowniczych i artystów i wnosiły na zdobyczne ziemie obcą Europie, lecz starą i twórczą swą cywilizację, to śladem Turków szło tylko zniszczenie i zagłada. O najdalsze okolice odbijało się złowrogie echo gwałtów, jakich się dopuszczały janczary, a trwoga pomiędzy ludem rosła wskutek tajemniczości, otaczającej po wszystkie czasy daleki Wschód i jego mieszkańców, skąd pędziły teraz na świat chrześcijański gnane naprzód pod znakiem półksiężyca hordy. Niezapomniane żyły bowiem w tradycji opowiadania powracających z świętych wypraw Krzyżowców, baśnie o onych odległych krainach, jako o zaczarowanej ojczyźnie różnych dziwotworów, wampirów i smoków, inkubów i czarnoksiężników. A Osmanowie uchodzili, i słusznie, za najdzikszych tego Wschodu synów, i jeżeli ten lub ów przedstawiciel islamu wybielał we wyobraźni ludowej i wyszlachetniał, jeżeli n. p. bohater z trzeciej wyprawy krzyżowej, egipski sułtan Saladyn, wszedł do ówczesnej nowelli włoskiej jako wzór wielkoduszności rycerskiej, to na odmalowanie Turków dobierali pisarze z owej epoki jak najczarniejszych barw, przypisując im potworne wręcz właściwości. »Turcy — pisał Eneasz Sylwjusz [1] — to naród krwiożerczy, który się żywi chętnie tem, czem inni ze wstrętem gardzą, jako to mięsem wilków i sępów, a co obrzydliwsze, nawet poronionym płodem ludzkim... Religję zaś swoją opierają na zmysłowej rozkoszy i chuciach«.

---

[1] *Pii II P. Max. Asiae Europaeque elegantiss. descriptio.* Ed. 1531.

W ślad za pierwszą wieścią o upadku Bizancjum nadeszła z muzułmańskiego już teraz Stambułu wnet druga, bodaj jeszcze groźniejsza, do Rzymu: donoszono tam mianowicie, że Mahomet cofnął się wprawdzie narazie do Adrianopola, ale że na Bosforze buduje flotę, jakiej świat jeszcze nie widział, i gotuje się na podbój całego chrześcijaństwa. Od wybrzeży Morza Czarnego, które po zdobyciu Konstantynopola było już morzem tureckiem, zagrażało niebezpieczeństwo południowym granicom Polski; Węgry, najbliżej wystawione na napad Osmanów, stanowiły wąską już tylko ściankę, zasłaniającą samo cesarstwo; na Rzym zaś, za jego nawoływanie do krucjaty, na Wenecję i na Neapol, za ich współzawodnictwo z Turkami na morzu Śródziemnem, zwracał się szczególny gniew i zawiść sułtana. Daleko idące obawy, jakie przejęły wówczas cały Zachód, wyrażał najlepiej ów mnich francuski, kiedy zapisywał, że Mahomet gromadzi wojska i okręty: *pour aller à Romme en faire autant qu'il avait fait à Constantinoble et qu'il pensait destruire, et gaster toutes les Ytalies et aller ficher son estendart sur les haultes tours de nostre dame de Paris.*[1]

Ale mimo powszechnej świadomości grożącego wszystkim niebezpieczeństwa, węzły, które w XI, XII i XIII stuleciu były jeszcze dość silne, aby skupić ludy chrześcijańskie pod wspólny znak Krzyża, rozluźnił odtąd tak doszczętnie budzący się wszędzie u schyłku średnich wieków narodowy lub dynastyczny indywidualizm, że na krucjatę było już zapóźno. Włochy, rozdarte rywalizacją pojedynczych swoich części, nie sięgały wzrokiem poza graniczne tych części spory. Na południu dy-

[1] »...aby ruszyć na Rzym i uczynić z nim to, co uczynił z Konstantynopolem, i że zamyślał zgładzić i zniszczyć całe Włochy i pójść zatknąć sztandar na wysokich wieżach Najświętszej Panny w Paryżu«. *Les fleurs des hystoires de la terre d'Orient, compilées par frère Hacyon* (cyt. w L. Thuasne, *Djem-Sultan, etude sur la question d'Orient à la fin du XV siècle.* Paris, Leroux, 1892).

MAHOMET II.

Według portretu Gentilego Bellini z galerji Layard w Wenecji.

nastja Aragonów, złączywszy właśnie Neapol i Sycylję pod wspólne berło, strzegła go zazdrośnie przed wznawianemi ciągle, a popieranemi przez Francję pretensjami rodu andegaweńskiego, który przedtem władał Neapolem. Na północy, wśród obustronnego wyczerpania, dogasały zaledwie długoletnie walki Medjolanu z Wenecją: w Lombardji zakładał najdzielniejszy i ostatni z wielkich kondotierów, Francesco Sforza, spajając spuściznę po Viscontich, dziedziczne księstwo dla swego rodu; sąsiednia zaś Wenecja, wypierana na morzach przez wzrastającą turecką przemoc, wrzynała się coraz głębiej w stały ląd włoski i przemieniała z wyłącznie dotąd morskiej także i na lądową potęgę włoską, wmieszaną przez to samo we wszystkie wewnętrzne spory i waśnie appenińskiego półwyspu. W sercu wreszcie Włoch, w burzliwej Florencji, po dwóchsetletnich walkach, ciągłych przewrotach i zmianach rządu, zagarniał właśnie Kosma Medyceusz władzę w zręczne kupieckie swoje dłonie i rzucał podwaliny pod zamaskowane zrazu i bezimienne jedynowładztwo swego domu, który miał przez trzy wieki panować w Toskanji. Na tworzenie nowych rodowych potęg, Aragonów, Sforzów, Medyceuszów, a przeistaczanie Wenecji w państwo włoskie na *terra ferma* skupiał się wyłącznie i zestrzeliwał wysiłek włoskiego ducha, a ćwiartowało się włoskie ciało.

Nie podatniejszym bynajmniej gruntem dla zespolenia się w krzyżowej wojnie była i reszta ówczesnej Europy. Na półwyspie iberyjskim chrześcijańskie królestwa Aragonu i Kastylji wywalczały z trudem i wywalczać miały jeszcze aż po sam koniec XV stulecia w nieustającej miejscowej krucjacie przeciw Maurom podstawę przyszłej, wielkiej Hiszpanji. Francja, wycieńczona stuletnią wojną z Anglikami, zbawiona cudem Dziewicy Orleańskiej, goiła w uciszeniu powracającego wreszcie pokoju rany, zadane jej pod Crécy, Poitiers i Azincourt. Anglja natomiast, do niedawna zwycięska i silna, pod słabym teraz rządem ostatniego z Lancastrów staczała się szybko wśród

kłótni poszczególnych gałęzi rodu Plantagenetów do bratobójczych walk Białej i Czerwonej Róży. Niemcy, gdzie władza cesarska już od zmierzchu Hohenstaufów zbladła na cień, teraz, odkąd berło przeszło w bezsilne ręce Fryderyka III, kruszyły się i stawały celem i stawką w grze politycznej ambitnych sąsiadów, książąt Burgundzkich, Węgier i Czech. W Polsce nakoniec, polityka Kazimierza Jagiellończyka, zwrócona w onej chwili na Zachód, gotująca się właśnie długa wojna z Zakonem krzyżackim o Prusy, wreszcie nagły wzrost na północy moskiewskiego państwa, w którem wyłaniał się nowy a groźny dla Polski i Litwy sąsiad, spychały również na dalszy plan sprawę turecką.

Wśród tak rozbieżnych interesów i celów, a w ogólnym zamęcie, zatliła się więc wprawdzie na chwilę, ale jak dym znów rozwiała zapóźniona myśl krzyżowej wojny, i słusznie oceniał Eneasz Sylwjusz zaszłą na świecie zmianę, kiedy w onych dniach ze smutkiem pisał: »Każdy kraj ma swego księcia, każdy książę własną swoją sprawę. Czyjaż wymowa zdołałaby tyle zwaśnionych między sobą i wrogich potęg pod jednym skupić znakiem? Któżby stanął na ich czele, gdyby szły w szeregu? Ktoby je utrzymał w porządku i posłuszeństwie? Któż ma być takiej trzody pasterzem? Kto zrozumie te mnogie a różnolite języki, któż potrafi ludzi o tak odmiennych właściwościach i obyczajach skupić i powieść społem? Gdzież jest ten, coby zdołał pogodzić Anglika z Francuzem, Genueńczyka z Aragonem, Niemca z Węgrem lub Czechem? Tak-to dziś bowiem świat chrześcijański wygląda«.[1] W słowach tych brzmi istotnie jakżeby lament obumierających średnich wieków nad rozpadaniem się w kawały zwartej aż po tę chwilę społeczności chrześcijańskiej, a taka skarga podwójnie uderza na ustach człowieka, który pomimo wolnej od wszelkich złudzeń znajomości położenia nie wahał się prze-

[1] Aeneas Silvius, *Epistolae* 127.

cież poświęcić własnego życia na najżarliwsze apostolstwo wojny z półksiężycem.

Przestrach wywołany pierwszą wieścią o upadku Konstantynopola ustąpił też wnet miejsca rezygnacji, a za nią szło u wielu zupełne zobojętnienie wobec dokonanego faktu. Niektóre rządy, jak n. p. wenecki i florencki, dla salwowania handlowych swych interesów na Wschodzie poczęły nawet w praktycznem wyrachowaniu szukać odrazu zetknięcia z pogromcą chrześcijan, ze zwycięskim Mahometem II. Rok zaledwie upłynął od katastrofy, kiedy Wenecjanie już zawarli z sułtanem traktat, w którym stwierdzali z naciskiem wzajemny »pokój i przyjaźń«, a obiecywali w niezaszczytnym dla Rzeczypospolitej św. Marka paragrafie »nie brać udziału w żadnem przeciw tureckiemu państwu lub sułtanowi skierowanemu przedsięwzięciu«.[1] Właściwie więc jedna tylko Stolica Apostolska nie ustawała w zabiegach, aby pobudzić narody chrześcijańskie do wspólnej akcji na pomstę za chrześcijańską klęskę. Toteż w wieku XV, w czasach tak groźnego pod wpływem polityki wewnętrznej włoskiej i spaczonych prądów humanizmu zeświecczenia kurji rzymskiej, wytrwałe jej usiłowania w tym kierunku wypełniają najjaśniejsze bodaj, bo licujące z powagą i posłannictwem papieży, karty ówczesnych ich dziejów. Wojna krzyżowa jest kością pacierzową polityki, pobudką i celem wszelkich poczynań dwóch bezpośrednio po Mikołaju V (za którego pontyfikatu padło Bizancjum) następujących po sobie papieży. Kalikst III Borgia wnosił w to apostolstwo wrodzoną każdemu Hiszpanowi nienawiść do islamu i półksiężyca. Zaraz na samym wstępie swoich rządów, poprzysiągł uroczyście, że gotów będzie przelać krew i oddać życie, byle wydrzeć Konstantynopol z rąk »czarciego syna«, Mahometa. Celu tego dopiąć nie zdołał. Ale dożył zwycięstwa, odniesionego pod

---

[1] Zinkeisen, *Geschichte des osmanischen Reiches in Europa*, 2 Bände, Gotha 1840—56.

Belgradem, gdzie dzielność Hunyadego i święty zapał Jana z Kapistranu wstrzymały pędzącą na Węgry nawałę turecką. Pierwszy z nich prowadził, drugi, z krzyżem w ręku, zagrzewał do boju szczupłe siły Krzyżowców. Składały się one przeważnie z źle uzbrojonych, ubogich mieszczan, z chłopów, studentów i mnichów, skupionych w szeregu wokoło nielicznej garstki landsknechtów niemieckich oraz trzystu żołnierzy polskich. Nie poszła na marne płomienna wymowa Kapistrana, który na krótko przedtem, wezwany przez Kazimierza Jagiellończyka, apostołował w Polsce, kiedy teraz ci rycerze z ponad Wisły mężnie stawali w obronie wiary nad brzegami Dunaju.

Radosnem echem odbiła się wieść o bitwie pod Belgradem na całym Zachodzie i Kalikst III utrwalił pamięć tego zwycięstwa ustanowieniem obchodzonego odtąd przez Kościół solennie święta Przemienienia Pańskiego. Ale jeżeli wygrana Krzyżowców zahamowała na chwilę zwycięski pochód sułtana Mahometa na północ, jeżeli dozwoliła wytchnąć Węgrom, to nie zdołała przecież unieruchomić potęgi tureckiej na dłuższy okres. Przeciwnie, jak polip długie swe ramiona, tak wyciągali Turcy ze stołecznego Stambułu zbrojną dłoń w coraz to inne strony. Już w dwa lata po bitwie pod Belgradem zdobyli Peloponez i Attykę, i ze stropu Partenonu, przemienionego na meczet, powiała zielona chorągiew Proroka; w r. 1459 zadał Mahomet II cios śmiertelny Serbji i obrócił kraj cały w perzynę; na rok 1461 przypadają zaś walki tureckie nad Euksynem, zakończone zajęciem księstwa Sinope i cesarstwa Trebizondy. A kiedy w dziesięć lat po wzięciu Konstantynopola ujarzmił Mahomet w r. 1463 Bośnię, państwo tureckie w Europie rozciągało się już od wybrzeży Morza Czarnego aż po posiadłości Wenecjan w Dalmacji. W parze ze zdobyczami na lądzie szły podboje na morzu Śródziemnem i coraz to inna wyspa przechodziła pod władzę turecką. Tylko Rodus, strzeżony czujnie przez Zakon rycerski św. Jana, odpierał zaciekłe

szturmy wojsk Mahometa i potężne jego mury obronne wynurzały się dumnie z wód archipelagu, jako ostatnia warownia, znaczona znakiem Krzyża na Wschodzie.

II

ŚMIERĆ PIUSA II.

Kaliksta III, obok obowiązków obrońcy powierzonej mu trzody, zagrzewała do walki z islamem burząca się w jego żyłach krew hiszpańska. Jego następca, Eneasz Sylwjusz Piccolomini, wyniesiony na Stolicę Apostolską pod imieniem Piusa II, poświęcił cały swój pontyfikat tej samej myśli i tym samym usiłowaniom. Z troską o powierzoną mu chrześcijańską społeczność łączyła się u niego atoli z pewnością troska o los cywilizacji Zachodu, której on właśnie najdoskonalszym może był przedstawicielem, a której groził zagładą stanowiący żywą tej kultury negację islam turecki. Bystrego umysłu i szerokiej wiedzy, wykwintny orator i stylista, historyk naprzemian i poeta, obdarzony ponadto rzadkiem na owe czasy poczuciem piękna natury, które tak urozmaica i krasi jego pisma, wielbiciel starożytności i wczesny miłośnik jej zabytków, a przytem doświadczony mąż stanu i zręczny dyplomata, znający świat, którego spory kawał w rozmaitych poselstwach przebieżał, jak i ludzi, z którymi się stykał i których umiał sobie jednać, — jest ten papież-humanista jedną z najbardziej zajmujących postaci włoskiego *quattrocenta*. Zamłodu wciągnięty w wiry soboru w Bazylei, dokąd przybył w świcie kardynała Capranica, złączył się on tam z obozem zwalczającym papieża Eugenjusza IV i poszedł w służbę wybranego przez zbuntowany sobór antypapieża, Feliksa V. Ale wywołany tym wyborem nowy, po zażegnanej od niedawna z takim trudem schizmie, rozłam Kościoła zniechęcił go prędko do nowego protektora, aż po kilkakrotnej jeszcze zmianie posad i obo-

wiązków ustalił swój los nareszcie, wstępując do kancelarji cesarza Fryderyka III. Przez cały ten okres ruchliwej swej młodości płynął on w pełni z pogańskim prądem, który porywał większą część ówczesnych humanistów. Świadczą o tem wcześniejsze jego pisma, listy lub wiersze zabarwione erotyką, oraz owa słynna, a więcej niż wątpliwej moralności powieść o Euryalusie i Lukrecji, pod którym to klasycznym pseudonimem krył się romans kanclerza cesarskiego, Kaspra Schlicka, i pięknej małżonki patrycjusza sieneńskiego de Camilli, który nosił jakby przeznaczeniem napiętnowane imię Menelasa. Jest to epoka w życiu Eneasza Sylwjusza, kiedy wzorem mu był zażywający wówczas w gronie humanistów tak wielkiego miru i wzięcia uczony i szczęśliwy odnalazca tylu pomników starożytnej literatury, a lotny i błyskotliwy Poggio. Naśladując go, nie staczał się przecież Piccolomini nigdy do sprosnych odmętów, w jakich się nurzał często w pismach swoich Poggio. Był również zbyt wykwintny, żeby w polemice, acz nieraz ciętej, zniżać się do karczemnej inwektywy, jaka w XV w. bywała zwykłą bronią w ciągłych pomiędzy sobą sporach nadętych bezmierną zarozumiałością i zawistnych humanistów. Takiego obrzucania się błotem i kałem, jak n. p. w literackich walkach tegoż właśnie Poggia z Filelfem lub Vallą, nie znajdzie w dziejach piśmiennictwa nigdzie: spory autorów starożytnych, nieprzebierających z pewnością także w wyborze broni, zabarwiał, ale i polerował przecież ton satyryczny; kłótnie francuskich encyklopedystów z XVIII wieku uszlachetniał dowcip,— w inwektywie humanisty włoskiego z XV w. niema natomiast nic, prócz grubjańskiej obelgi i oszczerstwa.

Od takich zboczeń uchroniło Eneasza Sylwjusza, związanego zresztą zamłodu ściśle z temi kołami humanistów we Włoszech i żyjącego ich życiem, wczesne wprzągnięcie w szerokie sprawy światowej polityki. Ale dopiero w pełnym wieku męskim spostrzec się u niego daje pogłębienie pojęć moralnych i spoważnienie poglądów, kiedy najpierw siebie samego,

potem cesarza Fryderyka i Niemcy usiłował wywieść z manowców, na jakie ich był zepchnął sobór bazylejski. Liczył już lat przeszło czterdzieści, gdy został subdiakonem, a zachowany z owych czasów list do przyjaciela pozwala zajrzeć głębiej w jego duszę. »Biada temu — pisał — i nie wart miłosierdzia Bożego, kto nie odszuka wreszcie lepszej cząstki w swojem wnętrzu i nie nagnie wedle niej żywota... Co do mnie, to nabłąkałem się dosyć i zanadto: oby już tylko nie było na mnie za późno«. Moralizujących zwrotów nigdy nie brak w najbardziej nawet płochych pismach humanistów. Jest to poczęści skutkiem tak znamiennego dla owych czasów poplątania etyki pogańskiej z nauką chrześcijańską, a poczęści czczą, ale utartą formułą retoryczną. Tylko w tym wypadku dalsze życie Eneasza Sylwjusza świadczy o szczerości jego wynurzeń. Wmieszany w grę polityczną świata, ocenił on może najtrafniej ze współczesnych wielkie zagadnienie chwili, czyli grożące Europie od strony tureckiej niebezpieczeństwo. Odtąd obrona Zachodu i chrześcijaństwa stała się wytyczną jego myśli i działań, a że człowiek rośnie w miarę wyższego celu, więc i charakter Eneasza Sylwjusza, dotąd zbyt chwiejny i giętki, nabrał z tą chwilą stałości i hartu. Odtąd też stał się on przykładem rzadkiego zestroju humanizmu z nauką chrześcijańską. Humanistą bowiem pozostał do końca, wierny zwierzeniom, przelewanym w chwili przełomowej życia w duszę jednego ze swych przyjaciół, kiedy do niego te charakterystyczne pisał słowa:[1] »Lekceważę ja sobie uciechy doczesne i chciałbym tylko służyć Bogu. Ale że jestem miłośnikiem piśmiennictwa — *amator litterarum*, — nie wiem, w jakim zawodzie lepiejbym zdołał podobać się Bogu, co w zawodzie literackim«. Humanistą jest więc Pius II, kiedy skromne swe miasteczko rodzinne, Corsignano, rozbudowuje w klasycznym stylu Odrodze-

[1] *Briefe des Aeneas Silvius vor seiner Erhebung auf den päpstlichen Stuhl.* Edit. Voigt. Nr 127.

nia i przemienia w piękną Pienzę; humanistą, kiedy urządza ową słynną procesję Bożego Ciała w Viterbo, gdzie kardynałowie współzawodniczyli w przepychu dekoracji ulic i pochód kroczył wśród malowanych i żywych obrazów, przedstawiających sceny z Pisma św. albo alegorje; humanistą w szumnych, suto retoryką kraszonych oracjach, po których zaświadczali mu współcześni, że *nihil Pii concionantis maiestate sublimius;*[1] humanistą w płynnej i wykwintnej łacinie bulli i listów; humanistą wreszcie w spisywanych do końca życia *Commentarii rerum mirabilium*, w tym najwcześniejszym bodaj w literaturze pamiętniku i formy tej odtąd pierwowzorze, a niezrównanem istotnie zwierciedle nietyle może samej duszy autora, co otaczającego go świata, ludzi i rzeczy, działań i wypadków, na jakie patrzał, będąc z natury — znów wedle własnego świadectwa — *varia videndi cupidus*, »ciekawym rozmaitych wrażeń« humanistą. Ale jedynym zato chyba w dziejach zarozumiałego humanizmu dokumentem jest owa słynna bulla z r. 1463, skierowana do uniwersytetu kolońskiego, oraz list w tej samej pisany epoce, w których Pius II odrzekał się błędnych lub płochych pism swojej młodości i wzywał wiernych, aby odrzucili Eneasza, a słuchali Piusa« — *Aeneam rejicite, Pium recipite.*

Na pogodne rządy zdawał się przeznaczony ten papież o świetnych przymiotach umysłu, szerokiej wiedzy i doświadczeniu nabytem w światowych kancelarjach, a o usposobieniu pokojowem i zgodnem. Sprawa turecka przemieniła atoli sześcioletni jego pontyfikat w cierniste pasmo rozczarowań i zawodów. Już w pierwszym roku jego rządów zwołany bullą *Vocavit me pius* do Mantui kongres nietylko spełznął na niczem, ale odsłonił w całej nagości niezgodę państw euro-

---

[1] »...że nic nie dorówna w majestacie przemawiającemu Piusowi«. Cribelli, *De expeditione Pii II in Turcas* (Muratori, *Rerum Ital. script.* t. XXIII).

pejskich, zaporę wszelkich wspólnych przedsięwzięć, oraz spory, jakie rozsadzały Włochy. Cesarz Fryderyk III, zamiast gotować się na świętą wojnę, rozpoczął był właśnie, w zmowie z magnatami węgierskimi, walkę o węgierską koronę z Maciejem Korwinem i ubezwładniał w ten sposób, zmuszając go do samoobrony, jedyny oręż, zwalczający dotąd szczęśliwie Turków. Stosunek Kazimierza Jagiellończyka do Stolicy Apostolskiej mąciła sprawa krzyżacka i krzyżackie intrygi. Toteż w przemowie posła polskiego, Jakóba ze Sienna, na mantuańskim kongresie, szumne słowa — jak trafnie mówi jeden z nowoczesnych historyków[1] — pokrywały sztucznie niechęć do współdziałania z Rzymem. Potrzeba było zresztą jeszcze lat stu i więcej, aby własne przeżycia nauczyły Polaków doceniać grozę turecką. Ale ciekawą, a niezmierzone widnokręgi dla polskiej polityki otwierającą myśl poruszył na kongresie tenże polski orator, kiedy radził połączyć z Zakonem rycerzy św. Jana Zakon Krzyżacki, wysiedlić go z Prus i osadzić dla walki z półksiężycem na jednej z wysp Śródziemnego morza. Równie niechętne, a w każdym razie odwlekające jakiekolwiek zobowiązanie co do wojny krzyżowej, było stanowisko zajęte przez Francję: uzależniała ona wszystko od rozwiązania poprzedniego kwestji neapolitańskiej i żądała cofnięcia inwestytury nadanej przez Rzym w miejsce Andegaweńczyków dynastji aragońskiej, co narażało papieża na niechybną wojnę z Neapolem. Podobnie i rządy państw włoskich odpowiadały na nalegania papieskie wymijająco, a próbowały kongres w sprawie tureckiej przemienić na trybunał dla spraw włoskich. Wenecja, handlująca po niedawnem porozumieniu się z Mahometem II swobodniej na Wschodzie, unikała wszystkiego, coby ją mogło narazić Turkom, a we Florencji cieszono się wprost ze wzrostu nowej potęgi, która zagrażała w pierwszej linji Wenecjanom i paraliżowała ich ruchy. Słusznie też

[1] Caro, *Geschichte Polens*. Część V.

zaznacza wielki tej epoki znawca,[1] że jeżeli Włosi nie wzywali jeszcze Turków na pomoc w bratobójczych walkach, to jeden o drugim dobrze wiedział, żeby się w razie danym ani na chwilę przed takim nie zawahał krokiem; tak n. p. o Sismondzie Malatesta, panu na Rimini, sam Pius II w *Komentarzach* swoich niebawem pisał, że za lada sposobnością gotów był sprowadzić Turków na Włochy. Trudności na kongresie wzmagały się zaś jeszcze wskutek intryg w najbliższem otoczeniu papieża i w samem nawet kolegjum kardynalskiem. Nie brakło bowiem i w tem gronie takich, którzy porozumiewali się wprost z dworami zagranicznemi, wpływali najpierw na zwłokę w obesłaniu kongresu, a podburzali następnie posłów do oporu przeciw szalonej, jak się wyrażali, imprezie papieża. Kiedy więc Pius II po całorocznem prawie trwaniu kongresu opuszczał Mantuę, z ciężką ją opuszczał troską. Dzięki jego energji ogłoszona była święta wojna, rozpisane na ten cel dziesięciny i poczynione zarządzenia dla werbunku wojsk i zbrojenia floty. Ale dla wielkiego przedsięwzięcia potrzeba było zapału, lub co najmniej dobrej woli. A ani pierwszego, ani nawet drugiej nie znajdywał papież nigdzie.

Tak więc wśród niedołężnych i pozornych tylko przygotowań wojny krzyżowej upływały od wzięcia Konstantynopola dni, miesiące i lata, a tymczasem Turcy rozwielmożniali się coraz zuchwalej w nowych swych europejskich posiadłościach. Od czasu do czasu wieść o nowem zwycięstwie lub świeżej zdobyczy półksiężyca, niekiedy trwożna garstka uchodźców, chroniących się ze Wschodu na Zachód, i groźne ich opowiadania przypominały światu konieczność pogotowia. Każdą taką chwilę skwapliwie wyzyskiwał Pius II, wznawiał prośby, nalegania i zaklęcia. Ale wnet egoizm rządów lub panujących zagłuszał głos i rozwiewał jego nadzieje. Zaledwie uciszyło się nieco na północy włoskiej, gdzie pokój zawarty w Lodi po-

[1] Jakób Burckhardt, *Kultur der Renaissance.*

łożył nareszcie kres długoletniemu zmaganiu się Wenecji z Medjolanem, a już, w południowych tym razem Włoszech, wybuchał nowy pożar, rozpoczynały się nowe walki pomiędzy Aragonami a Andegaweńczykami, skutkiem ich był zaś nowy podział półwyspu na dwa wrogo stające naprzeciw siebie obozy. We Francji natomiast i w Niemczech wschodziło coraz bujniej ziarno rzucone przez sobór bazylejski, i jakby zapowiedzią niedalekich grzmotów reformacji podnosił się przeciw autorytetowi papieskiemu groźny pomruk, którego bezsilny cesarz Fryderyk III nie próbował, a nowy król francuski, przebiegły Ludwik XI, nie myślał tłumić. W takich warunkach wznawiane nawoływania Piusa II do obrony przeciw Turkom nie znajdywały oddźwięku. Toteż stwierdzał on w swoim pamiętniku, że kongres w Mantui nauczył go nieufności, a dodawał z goryczą, że gdy posyła w sprawie wojny krzyżowej legatów na obce dwory, to przyjmują ich tam z lekceważeniem, nawet z urąganiem; że kiedy żąda na ten cel dziesięcin od duchownych, odpowiadają mu duchowni zuchwałem odwoływaniem się do soboru; że gdy wreszcie rozdzielaniem łask kościelnych usiłuje sam zasilić skarb na uzbrojenie Krzyżowców, to zarzucają mu zewsząd chciwość i skąpstwo.

I wtedy to, »wśród bezsennych nocy« — jak sam pisał — zrodziła się w przedwcześnie zgrzybiałym i złamanym na ciele, ale nieugiętym na duchu papieżu myśl, odbiegająca daleko od suchego samolubstwa, jakie cechowało współczesnych mu ludzi, — myśl, w której tlił jakoby ostatni jeszcze płomyk dogasającego idealizmu wieków średnich. »Napróżno — mówił — wołałem dotąd: idźcie, łatwiej może znajdę posłuch, gdy zawołam: pójdźcie« — i postanowił ruszyć sam na wyprawę krzyżową. Zamiarowi, który odsłonił zrazu tylko przed najbliższem otoczeniem, sprzyjać się zdawały na chwilę warunki zewnętrzne. Bo znów, na chwilę właśnie, dalszy zdobywczy krok Turków na zachód obudził, jeżeli nie sumienie, to przynajmniej czujność państw, narażonych na bezpośrednie

niebezpieczeństwo. Z początkiem 1463 r. uderzył sułtan Mahomet, pomimo traktatu zawartego z Wenecją, na resztę jej posiadłości greckich; wydane za zdradą greckiego księdza miasto Argos dostało się w ręce tureckie, a z kolei padł szereg innych grodów Peloponezu, któremi władała jeszcze Rzeczpospolita św. Marka. Niemal równocześnie spustoszyły zaś wojska tureckie Bośnię i zbliżały się wzdłuż wybrzeży dalmatyńskich do weneckiej Raguzy. Cierpliwość, cechująca dotąd postępowanie Wenecji w stosunkach jej z groźnym Mahometem, była na wyczerpaniu, bo rozchodziło się już o byt jej własny. Przytem śmierć miękkiego i ustępliwego doży, Pasquala Malipiero, i wybór jego następcy, Cristofora Moro, wzmocniły na lagunach stronnictwo skłaniające się ku wojnie. Jakoż stanął istotnie pomiędzy Rzecząpospolitą św. Marka a zagrożonemi przez ujarzmienie Bośni Węgrami traktat zaczepny przeciw Turkom — i wojna wybuchła.

Zdawało się więc Piusowi II, że nareszcie doczekał się chwili ziszczenia wielkich swych zamiarów. Toteż pomimo zawodów, doznanych w Mantui, znowu zwołał przedstawicieli chrześcijańskich państw, tym razem do Rzymu. Ale znów piętrzyły mu się na drodze trudności. Okazało się bowiem ponownie, że na cesarzu Fryderyku, zawsze biernym i zawsze potrzebującym pieniędzy, nikt polegać nie mógł. Ludwik XI zaś nietylko żadną się sam nie chciał wiązać obietnicą, ale odmawiał nadto wyznaczonego przez papieża na dowódcę wojsk krzyżowych Filipa, księcia Burgundji, od zaciągniętych wobec papieża w Mantui jeszcze zobowiązań. Włoskie wreszcie państwa przyrzekały wprawdzie pomoc w ludziach i w pieniądzach, ale w gruncie rzeczy zajęte były stokroć więcej kłopotami tureckiemi Wenecji: Francesco Sforza pragnął z nich skorzystać dla zaokrąglenia Lombardji wybrzeżem liguryjskiem, a Kosma Medyceusz bez obsłonek radził papieżowi, żeby się nie mieszał w spory wenecko-tureckie, lecz czekał raczej, aż

obie walczące strony w długiem zmaganiu zobopólnie wyczerpią się i zetrą.

Nic już nie mogło przecież wstrząsnąć postanowieniem papieża, który na konsystorzu z dnia 22 września 1463 r. ogłosił publicznie zamiar swój wyruszenia na czele wojsk krzyżowych na wojnę z Turkami. W długiej oracji.[1] która należy do najcelniejszych pomników krasomówczych tyle w nie obfitującego XV stulecia, roztoczył papież-humanista raz jeszcze obraz chrześcijańskiego świata, zagrożonego zalewem tureckim, wyliczał stracone już dla Krzyża ziemie, przypomniał własne wysiłki, podjęte od początku pontyfikatu na odparcie wroga, i w płomiennych słowach wezwał wiernych na bój z półksiężycem. »Słaby na ciele — mówił — i piastujący godność, której rzeczą nie jest chwytać za oręż, nie pójdę walczyć żelazem. Ale pójdę śladem Mojżesza, który, gdy Izrael zmagał się z Amalechitami, wznosił na górze modły do Boga; tak i ja klęknę na przodzie okrętu albo na szczycie wzgórza i wpatrzony w Przenajświętszy Sakrament wołać będę do Boga o zwycięstwo, a sercem skruszonem i kornem Pan nie wzgardzi«. Jako termin wyprawy naznaczył papież miesiąc czerwiec następnego roku, a na punkt zborny Ankonę, skąd jego galery, połączone z flotą wenecką i okrętami innych państw chrześcijańskich, powieźć miały wojska krzyżowe na Wschód.

Gorący apel Piusa II, roznoszony przez kaznodziejów franciszkańskich w najodleglejsze zakątki ówczesnego świata, a więcej jeszcze niebywały dotąd przykład głowy chrześcijaństwa, stającej osobiście na czele wyprawy krzyżowej, nie pozostał bez skutku. We Francji i w Hiszpanji, w Burgundji i w Niemczech, nawet w dalekiej Szkocji, zrywano się ochotnie, aby pójść za głosem wołającego papieża. Tylko papież żądał przezornie, aby jedynie ludzie uzbrojeni i wyposażeni

[1] *Pii II P. M. Commentarii rerum mirabilium.* Romae, ex typ. Dom. Basa, 1584, w księdze XII.

choćby na pierwsze miesiące ruszali w drogę. Tymczasem oziębłość książąt i niechęć rządów sprawiły, że ciągnący na wyprawę ochotnicy nie mieli ani broni, ani pieniędzy, że bez przywódców i dyscypliny szli w nieładzie, dając się ciężko we znaki okolicom, przez które kierował się ich pochód. Ponadto sprawa dowództwa nad gromadzącemi się siłami była wciąż w zawieszeniu, bo na wiosnę 1464 r., a więc przed samym terminem wyprawy, upatrzony na wodza książę Burgundzki jął się pod naciskiem dworu paryskiego wykręcać, w nowe i przewlekłe ze Stolicą Apostolską wdawać układy, aż wreszcie zażądał zwłoki na cały rok. Nakoniec zachwiała się i najpewniejsza dotąd ostoja nadziei papieskich: chciwa zdobyczy Wenecja witała chętnie przymierze z Węgrami i z papieżem, gdyż atak od granic węgierskich odciągał część sił tureckich z południa nad Dunaj i ułatwiał jej upragniony podbój straconego Peloponezu; w powszechnej natomiast krucjacie upatrywała tylko niepożądany przyrost współzawodników przy podziale łupu. Sam doża próbował wykrętów i wymawiał się podeszłym wiekiem od osobistego we wyprawie udziału, aż mu dzielny Vettore Capello na pełnej przypomniał Radzie, że gdzie się rozchodzi o dane słowo, a więc o cześć Wenecji, tam potrafi go ona zmusić choćby przemocą, aby wsiadł na okręt i powiódł flotę na wrogów.

Tak więc w chwili stanowczej czuł się Pius II coraz bardziej opuszczonym i ograniczonym do własnych tylko sił, a opornie w samem nawet Państwie Kościelnem wpływające dziesięciny na wojnę nie starczyły na większe zbrojenia. Z kardynałów zaledwie kilku, jak opłakujący ujarzmienie rodzinnej Grecji, szlachetny Bessarion, oraz jak zaciekły wróg islamu, sędziwy Carvajal, jak wreszcie dwaj późniejsi papieże, bogaty Wenecjanin, Barbo, i ambitny Hiszpan, Roderigo Borgia, szło mu z moralną lub materjalną pomocą na rękę. Zresztą i w samem kardynalskiem kolegjum szemrano na zamiary papieża, przedkładano mu, że opuszczając Rzym, narazi państwo pa-

pieskie na szwank, opierano się wezwaniu, aby mu towarzyszyć w drodze.

Tymczasem zdawało się, że z zapadającego coraz bardziej na zdrowiu papieża życie uchodzi i dobiega kresu, medycy zaś napróżno szukali zaradczych środków. Tylko jeżeli ciało omdlewało w trawiących gorączkach, to nieugięta wola podtrzymywała ducha. Dnia 18 czerwca, w bazylice św. Piotra, po długiej modlitwie u grobu Apostoła i pożegnalnej przemowie, przewiesił papież na piersiach krzyżowe godło bojowników za wiarę, i ruszył w drogę. Śpieszno mu było do Ankony, na spotkanie doży oraz synów księcia medjolańskiego, których przybycie Francesco Sforza kilkakrotnie zapowiadał i którzy wespół z kilku innymi książętami włoskimi uczestniczyć mieli w wyprawie. Ażeby choremu oszczędzić wstrząśnień na złych gościńcach, postanowiono pierwszą część drogi do Ankony, aż po Otricoli, odbyć łodzią na Tybrze. Odprowadzony przez dworzan na Ponte Molle (dawny Pons Milvius), pożegnał tam papież kardynałów, z których jedni pozostać mieli w Rzymie i sprawować w jego zastępstwie rządy kościelne, a drudzy zdążać za nim lądem do Ankony. Koło Tor di Quinto, sterczącej do dziś dnia na Via Flaminia z gruzów starożytnego grobowca średniowiecznej strażnicy, obrócił raz jeszcze wzrok i spojrzał na niknący w oddali Rzym, a otaczający go towarzysze usłyszeli, jak drżącym od wzruszenia głosem żegnał Wieczne Miasto żałobnem zapewnieniem, że już go ono żywym więcej nie ujrzy.

Ponad Ankoną, na wzgórzu, po którego stokach wiją się i pną coraz wyżej wzdłuż półkolistej zatoki strome i wąskie uliczki, w miejscu, gdzie stała niegdyś wspominana przez Katulla świątynia Wenery, wznosi się stara bazylika św. Cyrjaka. Kształtna jej bizantyńska kopułka, jedna z najstarszych kopuł na ziemiach włoskich, sterczy ponad okolicą i jakby sygnał morski wita już zdaleka zawijające do Ankony okręty. Z portyku przed kościołem roztacza się wspaniały widok najpierw

na podścielone piętrami aż do jego stóp miasto, niżej na port i kołyszące się na fali okręty i łodzie, wreszcie na lśniące w blaskach południowego słońca, ogromne, modre zwierciadło Adrjatyku. Żaden pomnik, żaden napis nie przypomina tam Piusa II. Ale wyobraźnia podróżnika, stającego dziś pod cichą średniowieczną bazyliką, wybiega po tych rozpostartych przed nim, dalekich wodnych szlakach, wiodących na Wschód, i goni za płomienną myślą wielkiego papieża, która przez cały jego żywot w tę skierowana stronę, tu, na tem miejscu, rozwiała się tragicznie i zgasła.

Po uciążliwej drodze z Rzymu, przerywanej częstemi postojami wskutek nadmiernych upałów i ponawiających się w coraz krótszych odstępach ataków febry chorego papieża, dnia 18 lipca 1464 r. stanął nareszcie konwój w Ankonie i Pius II wysiadł w sąsiadującym z kościołem św. Cyrjaka pałacu arcybiskupim. Ostatnie mianowicie dni podróży przygotowały go na to, co go czekało w Ankonie. Po drodze spotykano bowiem ciągle luźne gromady Krzyżowców, którzy zniechęceni długiem wyczekiwaniem, zmęczeni i wynędzniali, tłumnie wracali się do domu. Oddany całą duszą Piusowi II powiernik jego, kardynał Ammanati, opowiada w obszernem sprawozdaniu z owych dni,[1] jaka troska malowała się na ten widok na bladem obliczu chorego papieża, aż towarzysze podróży, przy ponawianiu się takich spotkań, zaciągać poczęli litośnie zasłony lektyki, aby mu oszczędzić bolesnych wrażeń. W samej Ankonie panował nieład; wśród nadbiegłych tam z tak różnych stron ochotników wybuchały kłótnie i spory; szczególnie Hiszpanie i Francuzi ścierali się ostro pomiędzy sobą, a stary kardynał Carvajal, wydelegowany przez papieża do utrzymywania porządku, zaledwie cień dyscypliny wśród niesfornych żywiołów, nie mających własnego przełożeństwa,

[1] *Jacobus Card. Papiensis Francesco Picolomineo Card. Sen. de infirmitate et morte Pii P. M.* (druk. w dalszym ciągu *Comment. Pii II.* Romae, Basa, 1584).

zaprowadzić zdołał. Książęta włoscy, mimo tylokrotnych przyrzeczeń, nie stawiali się na oznaczony termin w Ankonie, a Francesco Sforza, wbrew danej obietnicy, nie przysyłał ani synów, ani posiłków. Przecież i z szczupłemi siłami, jakie zastał, gotów był papież ruszyć na wyprawę, ufny do końca, że przykładem własnym zagrzeje i porwie drugich. Ale nie starczyło mu okrętów na przewóz wojsk, a kardynał Forteguerri, który płynął z galerami papieskiemi z Pizy, donosił z postojów w Apulji, że wśród załogi wybuchła zaraza i wiatry przeciwne hamują żeglugę, że więc nie zdoła prędko zdążyć do Ankony. Z Wenecji wreszcie, z Wenecji, na którą papież najwięcej i najpewniej liczył, nie przybywał nikt. Codziennie wyglądano ze wzgórza św. Cyrjaka, czy od północnej strony nie nadpływają okręty z godłami św. Marka na żaglach. Wschodzące słońce wyzłacało każdego rana rozległą wodną przestrzeń i chyliło się wieczorem na drugą stronę półwyspu, lecz na modrych szlakach nie bielił się nigdzie żagiel, i jak daleko sięgał wzrok strażników, wszędzie było cicho i pusto. Na domiar złego przybyli do Ankony posłowie dalmatyńscy donieśli, że wzdłuż ich wybrzeży ciągnie potężna armja turecka i że lada dzień pod jej naporem padnie Raguza. Na szczupłą liczbę łodzi, któremi rozporządzał, rozkazał papież natychmiast ładować zboże, i sam zrywał się, ażeby z małą garstką nadwornych swoich łuczników śpieszyć na odsiecz zagrożonemu miastu, aż po kilku dniach drugi posłaniec doniósł, że Turcy zawrócili nagle z drogi i cofnęli się ku granicom Bośni.

Zawody, troski i niepokój, a przedewszystkiem próżne wyczekiwanie niepojawiających się tak długo Wenecjan; doniesienie, że doża wsiadł wprawdzie na okręt, ale że zamiast ku Ankonie, popłynął na wybrzeża istrjańskie, gdzie miał rzekomo kończyć dopiero zbrojenia; wreszcie widok topniejących z dniem każdym ochotniczych zastępów krzyżowych, które coraz tłumniej opuszczały Ankonę — wszystko to wyczerpało do reszty wątłe siły niedźwigającego się już z posłania i tra-

wionego gorączką papieża. Lekarze zapowiadali zbliżający się szybko koniec, a w gronie kardynałów, zebranych w Ankonie, przestano się zajmować krucjatą, i roztrząsano już tylko plany i kombinacje przyszłego *conclave*. I właśnie przelotne skrzepienie się chorego, jakby ostatni płomyk w dogasającym ogniu, dało chwilę otuchy otaczającym łoże chorego, najbliższym jego towarzyszom, kiedy strażnicy portu dojrzeli nagle na dalekim widnokręgu białe żagle nadpływających od północy okrętów: po tylu spóźnieniach i zwłokach przybywała nareszcie flota wenecka.

Natychmiast wysłał papież poselstwo, złożone z kardynałów i wysokich dworskich dostojników, na powitanie doży, a siebie przysunąć kazał z łożem pod zwrócone ku morzu okno i długo wpatrywał się w zawijające do portu okręty. »Dotąd — zawołał — brakowało mi floty, teraz mnie samego flocie zabraknie!« Istotnie nie myliło go przeczucie. Naznaczone na dzień następny przyjęcie doży odwołać musiano z powodu zanikających sił papieża. Cristoforo Moro, o którym nieprzebierający nigdy w przymiotnikach Marin Sanuto[1] zresztą pisze, że był »mściwym, fałszywym i skąpym hipokrytą«, i który za późniejszem, ale tak znamiennem świadectwem Machiavella[2] przybył z okrętami weneckiemi do Ankony *piuttosto per mostrare la pompa loro* — »raczej aby się ich wspaniałością popisać«, — przysłał zaraz własnego medyka do łoża chorego, pozornie z gorliwej troskliwości o jego zdrowie, właściwie zaś, aby się dowiedzieć, czy pod sprawozdaniem kardynałów o jego stanie nie kryje się jakiś wybieg czy wykręt polityczny. Medyk powrócił z wiadomością, że naprawdę nadchodzi koniec. Nazajutrz po przyjęciu wiatyku i olejów świętych żegnał Pius II zgromadzonych wokoło siebie dworzan,

---

[1] Sanuto, *Vitae ducum Venetorum* (Muratori, *Script. rer. ital.*, t. XXII).

[2] Niccolo Machiavelli, *Istorie Fiorentine*. VII, 9.

a w słowach zwróconych do wiernego biskupa z Pawji, kardynała Ammanati, jakoby testamentem dla świętego kolegjum, przekazywał mu, aby przypominał braciom obowiązek świętej wojny. *Vae vobis, vae vobis, si opus Dei deseritis* — »biada wam, biada, jeżeli dzieła Bożego zaniechacie« — brzmiało ostatnie, przedzgonne napomnienie pasującego się ze śmiercią papieża. W nocy z dnia 14 na 15 sierpnia wyzionął Pius II ducha, a w dwa dni potem, po odprawionych w kościele św. Cyrjaka egzekwjach, ruszył kondukt żałobny w otoczeniu kardynałów, śpieszących na *conclave*, do Rzymu. Na okrętach weneckich rozpięto zaś natychmiast żagle i doża z flotą opuścił Ankonę. Ale droga, którą obrał, nie wiodła na wschód, tylko powrotnym szlakiem ku Wenecji.

W kilkadziesiąt lat po śmierci Piusa II, starszy towarzysz Rafaela ze szkoły Perugina, Bernardo Betti, zwany il Pinturicchio, roztoczył w szeregu fresków na ścianach »librerii« przy wspaniałej katedrze sieneńskiej szereg najważniejszych epizodów z życia Eneasza Sylwjusza. Wybornie po dziś dzień zachowane, w świeżym blasku barw, a w minjaturowem niemal wykończeniu, wyglądają te malowidła na tyleż kart, wyrwanych z olbrzymiego średniowiecznego psałterza, na dzieło misternej owej sztuki . . . *ch' alluminare è chiamata in Parisi*,[1] jak już o niej mówi Dante. Żywszej, bogatszej ilustracji włoskiego *quattrocento*, rozmiłowanego w kolorach, w strojności i zbytku, nie pozostawił po sobie żaden chyba z ówczesnych artystów. Obyczaj dworski w całej swojej świetności i przepychu maluje się w kawalkacie kardynała Capranica, któremu towarzyszy młody Piccolomini w drodze na sobór do Bazylei, albo w posłuchaniu, udzielonem przez króla Szkocji posłującemu na jego dwór Eneaszowi, lub przedewszystkiem w pierwszem spotkaniu Fryderyka III z narzeczoną mu Eleonorą Portugalską, którą tenże Eneasz, naówczas już biskup z Triestu, przy-

[1] »...którą alluminacją nazwano w Paryżu« (*Purgat.* XI, 81).

wiózł był cesarzowi z Neapolu do Sieny. Humanizm natomiast przemawia z innego fresku, gdzie na tle idealnego renesansowego portyku zdobi cesarz Fryderyk skronie klęczącego u jego stóp Piccolominiego laurowym wieńcem poety. Pompa i powaga średniowiecznej hierarchji występuje zato w pełnym majestacie na obrazach, przedstawiających nadanie przez Kaliksta III Eneaszowi Sylwjuszowi kardynalskiego kapelusza, potem składanie mu po wyniesieniu na Stolicę Apostolską przez kolegjum kardynalskie pierwszego hołdu, wreszcie uroczystość dokonanej przez niego kanonizacji sieneńskiej jego rodaczki, św. Katarzyny.

Na ostatnim z rzędu obrazie gotuje się Pius II w Ankonie na wojnę świętą: w dali błękitnieje morze, zasiane, jak stadem łabędzi, śnieżnemi żaglami okrętów; bliżej piętrzą się warowne mury twierdzy, a na tem tle ukazuje się z trójkoronną tiarą na głowie papież, którego niosą wśród świeckiej i duchownej świty na szkarłatnej *sedia gestatoria;* z przodu, na pierwszym planie, klęczy po jednej stronie starzec, przybrany w złocisty, gronostajem podszyty płaszcz wenecki, — zapewne sam doża, Cristoforo Moro, — a naprzeciw niego, w zielonej szacie i z białym turbanem na głowie, Turek, którego wyraziste, ostre rysy przypominają znany z ówczesnych medali, oraz z portretu przypisywanego Gentilemu Bellini, charakterystyczny profil Mahometa II. Ale mistrz umbryjski, wierny tradycjom szkoły, natchnionej zawsze pogodnym nastrojem umbryjskiego krajobrazu, jak innym zresztą, tak i tej scenie z życia Piccolominiego nadał sielankową niemal cechę i tragedję ostatnich jego chwil w Ankonie przemienił jakoby w nadmorską idyllę. I tylko »znienawidzony cyprys«, *invisa cupressus* — jak już Horacy nazywał to drzewo cmentarzy i grobów — dużą ciemną plamą rzuca na ten obraz jakoby jakiś cień żałobny.

A tę żałobę, ten tragizm chwili, odczuło już wielu ze współczesnych. *E questa fine ebbe la laudabile impresa di Papa Pio, colpa e cagione de pessimi e iniqui Christiani* —

PIUS II.

Według fresku Pinturicchia z Librerii katedry w Sienie (malow. w r. 1505—1506).

»i taki koniec miało chwalebne przedsięwzięcie papieża Piusa, z winy i przyczyny złych i niegodziwych chrześcijan« — mówi jeden z ówczesnych pisarzy,[1] streszczając w tych słowach marny, rozegrany w Ankonie epilog czterowiekowej prawie polityki państw chrześcijańskich względem półksiężyca. W rzeczywistości bowiem był Pius II ostatnim przedstawicielem tych średniowiecznych pokoleń, w których sumieniu brzmiał jeszcze wzniesiony niegdyś w Clermont z taką chwałą okrzyk: *Deus lo volt.* Przeliczył on się z pewnością w ocenie swego wpływu na ówczesną, tak rdzennie już zmienioną społeczność chrześcijańską. Ale obliczenie sił chrześcijańskich nie było złudzeniem, bo sił tych starczyło bezsprzecznie, aby stawić czoło wdzierającej się do Europy, lecz nie rozsiadłej w niej jeszcze potędze tureckiej, i aby ją odeprzeć w jej azjatyckie granice. Dopiero też z chwilą jego zgonu, zalane w potopie tureckim europejskie ziemie stały się naprawdę turecką własnością, a chrześcijańską Europę zepchnięto i skazano odtąd na odporną już tylko walkę. Wyobraźnia zaś maluje sobie obraz chrześcijańskiego świata, jakby wyglądał, gdyby znalazł był na czas posłuch głos wielkiego papieża-humanisty, nawołujący, aby Turków, zanim w niej zapuszczą korzenie, wyrwać i wyżenąć z Europy. Cisną się mimowoli do głowy pytania, jaką byłaby Polska, nie skazana wieczną »potrzebą turecką« na ciągłe pogotowie wzdłuż południowych swych kresów, na ciągły haracz krwi i mienia, który gdzieindziej był jej potrzebniejszy, ale którego już nie starczyło gdzieindziej; coby się było stało z cesarstwem, gdyby nie krępowane przez ustawiczną i tam *Türkennoth*, mogło było u wyjścia ze średnich wieków podjąć i rozwiązać tyle niezbędnych reform i w spokoju przeprowadzić rozrachunek z inną rozsadzającą je reformą, — z reformacją; coby się działo na Bałkanie, gdyby burza turecka

[1] *Diari Sanesi di Allegretto Allegretti* (Muratori, *Script. rer. ital.*, t. XXIII).

nie była wówczas tamtejszych Słowian bądź przyprawiła o śmierć, bądź skazała na równą śmierci, kilkusetletnią martwotę, ale gdyby się tam był ostał i wcześniej rozwinął wielki odłam Słowiańszczyzny na przeciwwagę wspólnie z Polską wobec zlepiającego się właśnie i do potwornych rozmiarów rozrastającego państwa moskiewskiego; słowem, jakby wyglądała Europa, gdyby zagoiła była na czas otwartą w jej boku w XV w. ranę, która odtąd jątrzyć się miała bezustanku i jako kwestja wschodnia zakłócać przez długi ciąg wieków pokój całego świata.

Następcy Piusa II, najpierw Paweł II, potem Sykstus IV, nie zaniechali myśli wojny krzyżowej. Ale nie była już ona u nich, jak u ich poprzednika, sprężyną kierowniczą wszelkich poczynań. Paweł II nie posiadał silnej jego woli i wytrwałości, a Sykstus IV, wciągnięty nieszczęsnym wpływem przewrotnych nepotów, Riariów, w wiry polityki włoskiej, polityki, która rychło wydała krwawy plon w słynnem sprzysiężeniu Pazzich we Florencji, nie miał zgoła przymiotów, potrzebnych na łącznika we wzmagającym się z dniem każdym wokoło niego rozstroju. Słabość Zachodu umiał natomiast Mahomet II po mistrzowsku wyzyskiwać dla swoich celów zaborczych. Zdobycie za pontyfikatu Pawła II Negropontu, dawnej Eubei, a dotychczasowego ośrodka wojskowych kolonij weneckich na archipelagu, oddało Turkom panowanie na morzu Śródziemnem, otwarło im drogę na Adrjatyk i odsłoniło od Wenecji po Otranto wybrzeża włoskie. »Świetność i powaga Wenecji — pisał w onych dniach jeden z jej kronikarzy[1] — runęła, a dumę naszą starto na proch«.

Od północy lądem, po podboju Albanji, której nie zasłaniał nadal dzielną swą piersią zmarły w onych właśnie latach Skanderbeg, »Chrystusowy atleta«, jak go w chrześcijańskim świecie zwano, poczęli bowiem odtąd Turcy wdzierać się przez Bośnię, Dalmację, Istrję do Friulu, gdzie pustoszyli aż po Piave

[1] Malipiero, *Annali Veneti* (Archiv. stor. ital. T. VII).

żyzne okolice. W lipcu 1480 r. uderzył zaś nagle Mahomet od południa na wybrzeża włoskie, i lądujące jego wojska zdobyły Otranto. Od trzydziestu blisko lat, bo od wzięcia Konstantynopola, wisząca nad półwyspem appenińskim zmora, stawała się rzeczywistością: po zdobyciu Bizancjum, podboju krajów bałkańskich i szeregu wysp na archipelagu, przychodziła teraz kolej na same Włochy, których bogactwa nęciły oddawna chciwość turecką, i gdzie opór, stawiany mu przez papieży, jątrzył jeszcze bardziej gniew groźnego sułtana. Jak za pojawieniem się jastrzębia cichnie nagle i skupia się swarliwe ptactwo, tak przycichły odrazu kotłujące w owej chwili silniej niż kiedykolwiek waśnie i niezgody wśród miast i książąt włoskich. Zaczęto porozumiewać się nawzajem i jednoczyć, i wyrównała się nawet przepaść, dzieląca od sprzysiężenia Pazzich Rzym i Florencję. Wszyscy godzili się tym razem na konieczność niesienia pomocy dotkniętemu w pierwszej linji zdobyciem Otranta przez Turków królestwu Neapolitańskiemu. Coprawda, wołając o tę pomoc, groził cynicznie król Ferrante ze swojej strony wszystkim, że jeżeli mu jej na czas nie udzielą, to przyjmie wszelkie warunki, które mu sułtan na ich podyktuje zgubę, i sam otworzy Turkom drogę na Rzym. Co więcej, dzięki energicznym zabiegom Giuliana della Rovere, późniejszego papieża Juljusza II, a naówczas legata Stolicy Apostolskiej we Francji, nawet tak oporny dotąd Ludwik XI obiecywał teraz papieżowi zasiłki w ludziach i pieniądzach. Ale strachu, który po upadku Otrantu opanował wszystkich, nic chyba nie znamionuje wymowniej, niż owo w onych dniach właśnie przesłane temuż kardynałowi della Rovere przez Sykstusa IV do Francji zlecenie, aby mu na wszelki wypadek przygotował schronisko w starym zamku papieskim w Avignon. Po stu latach od powrotu papieży do Rzymu ponownie więc Rzymowi groziło sieroctwo, ale tym razem tragiczniejsze, bo spowodowane sromotną klęską Krzyża.

Wtem, pośród gorączkowych przygotowań obrony, bo w chwili tworzenia się opartej na szerokich podstawach Ligi,

kiedy z papieżem, któremu pomoc obiecywała tym razem i Francja, łączyły się do wspólnej przeciw Turkom akcji Aragonja i Portugalja, Węgry i Neapol, książęta Medjolanu i Ferrary, margrabiowie Mantui i Monferratu, Florencja i Genua, Bolonja i Lukka, padła z końcem maja 1481 r. i w mig się rozeszła wieść, że na dalekim Wschodzie, na anatolskich stepach, gdzie gotował się właśnie na nową rozprawę z rodyjskim Zakonem św. Jana, długoletni postrach chrześcijańskiej Europy, niezwyciężony dotąd Mahomet II rozstał się z tym światem. Huk dział z Zamku św. Anioła, rozpalone na wzgórzach miejskich ognie, bicie we dzwony we wszystkich kościołach i dziękczynne procesje przeciągające przez miasto zwiastowały Rzymianom zgon groźnego zdobywcy Bizancjum. Przezornie atoli przypominał papież w listach, rozesłanych natychmiast na wszystkie dwory i do wszystkich rządów, że skorzystać należy wlot z tej jedynej chwili, aby wspólnym wysiłkiem, choćby już tylko dla obrony bliższych, własnych granic, uderzyć na Turków.

Historja obfituje po wszystkie czasy w niespodzianki i na niezbadanych drogach Opatrzności krzyżują się i wikłają nieprzewidzianie a opacznie poczęcia ludzkie. Żadna epoka nie znaczy się przecież tak kalejdoskopową iście zmiennością, jak ów zmierzch średniowieczny w drugiej połowie XV wieku we Włoszech. Wypływało to z charakteru, a raczej braku charakteru ówczesnych ludzi. Ci ludzie, rozmiłowani w pięknie, które było dla nich jakby życiową potrzebą, jakby warunkiem doczesnej szczęśliwości, zdumiewać będą zawsze twórczością w sztuce, której po nich tyle i takich pozostało pomników. Ale piękna szukali oni obok siebie, nie w sobie, twórczość ich ograniczała się do sztuki, a w życiu byli rozkładowi na wskróś. Toteż z wyjątkiem Rzymu, gdzie apostolstwo krucjaty, nawet w tej epoce zeświecczenia i upadku, strzegło w polityce choćby tego jednego idealnego pierwiastku, — z wyjątkiem Wenecji, gdzie karność i dyscyplina zdołała podporządkować poszczególne

ambicje pod dobro publiczne i stworzyć w ten sposób wielki, zdrowy patrjotyzm Wenecjan, który im dał siłę przetrwać nawet taką burzę, jaka na nich nadciągnęła w Lidze z Cambrai, — w reszcie półwyspu nie było już miejsca dla szerszej politycznej myśli, ani siły do wcielenia jej w czyn. Rozwiewał się tam więc z dnia na dzień, jak dym, każdy zamiar wspólnie poczęty, nie dotrzymywano danych słów i obietnic, łamano wszelki układ i przymierze, a egoizm, wybujały do potworności, rodził wszędzie niezgodę i zawiść, które się stały istotą i treścią narodowego włoskiego życia, wyczerpały jego siły i zawiodły do katastrofy XVI wieku.

Równie przelotnym był i ów zgodny wysiłek państw włoskich w 1481 r. Udało się wprawdzie flocie papieskiej, połączonej z okrętami genueńskiemi, a posiłkowanej przez wojska neapolitańskie od strony lądu, wydrzeć Turkom Otranto, ale na tem skończyła się założona na szerszą skalę akcja Sykstusa IV. Już przy podziale łupów przyszło do sporów, które unieruchomiły odrazu zwycięzców, Turkom zaś ułatwiły spokojny odwrót z Apulji. Z odprężenia po śmierci Mahometa II wynikło wnet zupełne rozprężenie, i już następnego roku zawrzały bardziej niż kiedykolwiek zawzięte walki wewnętrzne na włoskim półwyspie, podzielonym znów na dwa obozy, na czele których stali: po jednej stronie wyzwolony świeżo ze zmory tureckiej przez odzyskanie Otranta król Ferrante neapolitański, po drugiej zaś, w przymierzu teraz z Wenecją, wciągnięty znów w wiry włoskie, sam Sykstus IV.

Nawylot poznali Turcy od wzięcia Konstantynopola słabość Zachodu. Toteż gdy wielki wezyr odwoził tam zwłoki sułtana Mahometa, troszczył się tylko o następstwo, ale nie lękał o los samego tronu, który osadzony głęboko przez zmarłego zdobywcę w granicach europejskich, stał już na wydartej chrześcijanom ziemi niewzruszony i silny. Bo ze śmiercią Piusa II w Ankonie zamarła w chrześcijaństwie chęć odwetu na Turkach, tylowieczna myśl wojen krzyżo-

wych. Odtąd i aż po koniec XV wieku miejsce jej w polityce Zachodu względem Turków zajęły małe, wykrętne zabiegi i intrygi, których marną ofiarą paść miał drugi syn sułtana Mahometa, książe Dżem.

III

DŻEM.

Zmarły w r. 1481 sułtan-zdobywca, Mahomet II, pozostawiał po sobie dwóch synów, Bajazeta i Dżema. Ale sprawa sukcesji, nie określona jasno i nie obwarowana ustawą, przy każdej niemal zmianie panowania wywoływała zamęt, a prowadziła często do krwawych dynastycznych tragedyj. Już założyciel państwa otomańskich Turków, Osman, stracić był kazał stryja, w kilkadziesiąt lat po nim Bajazet I jednego z braci, a podobnie i sam Mahomet II znów po trupie brata wstąpił na tron. Co więcej, w ustawie zasadniczej uznał on bratobójstwo za uprawnione i godziwe, jeżeli stanowiło »rękojmię spokoju i bezpieczeństwa świata«.[1] Wobec czysto wojskowego ustroju państwa, jak niegdyś w Rzymie od pretorjanów, zależało przecież i w Turcji następstwo tronu przedewszystkiem od janczarów. Żywa dziesięcina z dzieci, którą ściągano z zawojowanych chrześcijan, dzieci, chowanych następnie w surowej karności a w dzikim fanatyzmie islamu na *jeni-czeri* — nowe wojsko — czyli na janczarów, dostarczało sułtanom za życia narzędzia siły, które odmładzało się wiecznie i nie rdziewiało nigdy. Zato po ich śmierci spuścizna ich przechodziła w ręce janczarów, bo oni rozstrzygali zwykle o jej losie. Tak się rzecz miała i po śmierci Mahometa II. Umierając prawie nagle, nie zdążył on uregulować praw sukcesji. Ale za życia

---

[1] Józef Hammer, *Geschichte des Osmanischen Reiches*, Pest 1828, t. II, rozdz. 18.

bliższym mu był młodszy syn, Dżem [1]. Ku niemu skłaniał się też wielki wezyr, który z tego powodu utrzymał śmierć swego pana w tajemnicy, a zawiadomił o niej tylko obu synów zmarłego, stojących na czele odleglejszych prowincyj azjatyckich; w ten sposób zdawał ostrożnie rzecz na los szczęścia, wyczekując, który z obu współzawodników pierwszy zdąży do Konstantynopola i obejmie rządy. Gońca wysłanego do Dżema pochwycił atoli po drodze i uwięził teść Bajazeta. Gdy zaś równocześnie zdradzono w stolicy źle strzeżoną tajemnicę i wieść o śmierci sułtana Mahometa rozeszła się wśród koczujących pod miastem obozów, nic nie zdołało utrzymać na wodzy janczarów, którzy ruszyli na Konstantynopol i zajęli miasto. Pierwszą ich ofiarą padł sprzyjający Dżemowi wielki wezyr, a gdy w kilka dni później książę Bajazet zdążył z odległej swej prowincji Amazji i stanął pierwszy u bram Konstantynopola, całe wojsko wyległo na jego spotkanie i wprowadziło go triumfalnie, jako nowego sułtana, do stolicy.

Ale Dżem nie dawał za wygraną. Tytuł prawny do następstwa tronu opierał przedewszystkiem na tem, że brat jego, Bajazet, urodził się w czasie, kiedy ojciec ich, Mahomet, nie był jeszcze sułtanem, i to z matki niewolnicy, kiedy natomiast on sam przyszedł na świat w r. 1459, a więc już za panowania ojca, matką zaś jego była uprowadzona niegdyś wśród zdobywczych wypraw tureckich i zamknięta odtąd w sułtańskim haremie branka z dostojnego rodu królów serbskich. Prócz tego miał młody książe w azjatyckiej Turcji wielu zwolenników, na których poparcie liczył. Wychowany przez greckich i arabskich uczonych w słynnej szkole islamistycznej w Kastemuni, odznaczał się on wcześnie zdolnościami, a lgnął przedewszystkiem do bogatej poezji Wschodu. Już zamłodu tłumaczył dla ojca na język turecki perskie poematy, następnie zaś i sam pisał w ojczystym języku wiersze, które mu

[1] Współcześni greccy pisarze zowią młodszego syna Mahometa II *Zemas*, łacińscy i włoscy *Zizimus*, *Zizim*, albo *Gem*.

w literaturze tureckiej poczestne zapewniły miejsce[1]. Obok tego nie zaniedbywał rycerskich ćwiczeń gimnastycznych i jako siłacz w ręcznych zapasach nie miał sobie równego. Wyszczególniające łaski ojcowskie jednała mu przecież w pierwszym rzędzie wygórowana ambicja, w której ojciec upatrywał odblask własnych dumnych pragnień. Znakiem tej łaski było powierzenie mu przez Mahometa II rządów nad świeżo zdobytą Karamanją. Tam, w stolicy Konieh, dawnem Iconium, doszła go wieść o śmierci ojca.

Natychmiast ruszył na pogranicze Bitynji i zajął starą turecką stolicę, Brussę. Ogłaszając się sułtanem, wysłał atoli równocześnie poselstwo do brata w Konstantynopolu z zapewnieniem pokoju i przyjaźni, byle mu Bajazet odstąpił azjatycką spuściznę po ojcu, a zadowolił się europejskiemi jego zdobyczami. Wysłannicy powoływali się na stare wschodnie przysłowie, że »żyzna ziemia, na której jedno tylko rośnie drzewo, nie wyda tyle owoców, ile ich dać powinna«, i wzywali do bratniej zgody. Inną, pozytywniejszą sentencją arabską, że »między królami niemasz pokrewieństwa«, odpowiedział mu Bajazet. Rozstrzygnięcie sprawy pomiędzy sobą a bratem powierzył on orężowi janczarów, i po kilkunastodniowych zaledwie rządach w Brussie, pobity na głowę, musiał Dżem uchodzić i szukać schronienia w Egipcie.

Panujący tam właśnie Mameluk, przezorny Kait-bey przyjął zbiega z wyszukanemi objawami czci, ale rad z niezgody, dzielącej synów Mahometa II, niezgody, która hamowała groźny i dla Egiptu rozmach młodej otomańskiej potęgi, nie śpieszył się z udzieleniem pomocy, na którą Dżem napewno liczył. Z przymusowych wczasów skorzystał więc młody pretendent, aby z Egiptu odbyć pielgrzymkę do Mekki. Odpowiadało to głębokim jego uczuciom prawowiernego muzułmanina, a z innej

[1] Hammer-Purgstall, *Geschichte der Osmanischen Dichtkunst.* Pest 1836.

strony spodziewał się, że w bezpośredniem zetknięciu z pielgrzymami, których tak liczne zastępy ściągały zewsząd do świętych miejsc Proroka, rozgłosi swoje imię pośród różnolitych szczepów islamu i zdoła je dla własnej zjednać sprawy. Ale wszystkie te rachuby zawiodły, bo osiedlony w stolicy nad Bosforem i rozporządzający wojskową po ojcu sukcesją Bajazet był już panem położenia. Z umiarkowaniem, które go różniło korzystnie od innych członków dynastji Osmanów, wyznaczył bratu na rezydencję Jerozolimę i obiecywał szczodrym wyposażyć go apanażem, lecz pod warunkiem, że wyrzeknie się na zawsze wszelkich zakusów współrządu. Ulegając wszelako właściwym pretendentom po wszystkie czasy złudzeniom, nie słuchał Dżem namów brata i ze słabą tylko pomocą dawnych władców Karamanji ruszył na nowe z nim w Azji Mniejszej walki, aż zwyciężony po raz drugi i ścigany przez wojska Bajazeta, zbiegł i ukrył się wśród dzikich wyżyn Taurusu. I tam to, na tem odległem pustkowiu, zrodziła się w nim dziwna u syna wielkiego pogromcy chrześcijan myśl, powierzenia swego losu chrześcijanom. A że najbliższym w tych krainach wschodnim posterunkiem chrześcijańskim był osiedlony na wyspie Rodus Zakon rycerski św. Jana, ku niemu zwrócił tułaczy wzrok.

Dwie wyspy po stronie Śródziemnego morza podzieliły pomiędzy siebie spuściznę wojen krzyżowych. Bliższy syryjskiego wybrzeża Cypr objął po nich spadek handlowy i stał się najdalej na wschód wysuniętą łacińską i chrześcijańską stacją kupiecką. Położony naprzeciw południowo-zachodnich wybrzeży Azji Mniejszej Rodus wziął zaś po Krzyżowcach schedę wojskową i wyrósł na ostatnią w tych stronach warownię chrześcijańską, odkąd Wielki Mistrz Foulques de Villaret przeniósł tam w r. 1309 Zakon rycerski św. Jana, a jeden z jego następców, Hélion de Villeneuve, zamienił całą wyspę w jedną potężną twierdzę. Poczerniałe wiekiem wynurzają się jej mury i baszty do dnia dzisiejszego, jak szereg posępnych skał, z wód archipelagu, wzbudzając podziw rzadkich zabłą-

kanych w tamte strony podróżnych. Po tragicznym, dziś jeszcze niejedną tajemnicą osłoniętym końcu Templarjuszów, po wczesnem przedzierżgnięciu się niemieckich Krzyżaków z roli stróżów zdobyczy chrześcijańskich na Wschodzie na zaborców chrześcijańskich ziem na Północy, jedni Joannici strzegli wiernie przez szereg wieków naznaczonego im przez założycieli celu, czyli walki z półksiężycem. Tylko od połowy XV wieku, od wstąpienia na tron Mahometa II, od upadku Konstantynopola i dalszego pochodu zwycięskich Turków na zachód, zacieśniał się coraz bardziej dokoła Rodu pierścień turecki i coraz szczelniej odgraniczały go od chrześcijańskiego świata tureckie już lądy i morza. Szczególną zawiść potężnego sułtana budził ten skrawek obcej ziemi, jakby zapomniany wśród ogromnego cesarstwa otomańskiego, ale kilkakrotne zakusy zawładnięcia wyspą pełzły na niczem i rozbijały się zawsze o twarde mury Rodu i czujność ich straży. Aby tę czujność uśpić, postanowił więc Mahomet II w r. 1479 wdać się z Zakonem św. Jana w przewlekłe umyślnie układy, a tymczasem zebrać takie siły, których nagłe uderzenie uczyniłoby go nareszcie panem znienawidzonej wyspy. Układy te, z ramienia ojca, prowadził książę Dżem.

Tylko Rodus miał w owej chwili obrońcę w człowieku, który poświęcił żywot cały na walkę z Turkami, a w tej walce poznał nawskróś nietylko wojenny ich obyczaj, ale i wszystkie wybiegi zdradliwej ich polityki. Był nim, obrany na kilka lat przedtem wielkim mistrzem Zakonu rycerzy św. Jana, Piotr d'Aubusson. Potomek starożytnego rodu wicehrabiów na Marchji i panów na Monteil, wojował on zamłodu pod dowództwem Jana Hunyadego z Turkami na lądzie, potem, wstąpiwszy do Zakonu św. Jana, na morzach okalających Rodus. Groźny Mahomet II uznawał w nim godnego siebie przeciwnika. Pasowała go bowiem na to nietylko dzielność i odwaga, ale i zdolność w rządzeniu Zakonem, który właśnie w owej chwili przesuwania się świata muzułmańskiego na Zachód, wybijał

się na pierwsze, przewodnie wśród jego wrogów miejsce. Przyswoiwszy sobie w ciągu długiego pobytu na Wschodzie wschodnią przebiegłość, i pod tym względem dotrzymywał Aubusson nieprzyjaciołom kroku, i za pomocą szpiegów w Konstantynopolu, którzy docierali w potrzebie i do tajemniczych wnętrzy seraju, przenikał najbardziej nawet skryte myśli i zamiary sułtana. W ten sposób i w owym pamiętnym w annalach wyspy roku 1480 otrzymał on na czas z nad Bosforu przestrogę, aby nie ufać Turkom, którzy pozornemi układami pragną go zwieść, a gotują się pokryjomu na walną rozprawę z Zakonem.

Do zwlekań ze strony tureckiej dostroił Aubusson własną taktykę i coraz to nowemi warunkami jął i ze swojej strony przewlekać układy, a tymczasem zdążali na jego rozkaz bracia zakonni ze wszystkich komandoryj europejskich na wyspę i obejmowali straż w twierdzach. A kiedy już wszystko było do obrony gotowe, odsłonił wielki mistrz przyłbicę i dumnem oświadczeniem, że rycerze św. Jana haraczu, którego sułtan od nich żądał, pod żadnym warunkiem płacić Turkom nie będą, zerwał nagle układy. Zjawienie się potężnej floty tureckiej, wysłanej na zdobycie Rodu, było odpowiedzią sułtana. Dowodził nią wypróbowany w ciągu długiego panowania Mahometa II w walkach z chrześcijaństwem wódz, Mesih-basza, a przy nim stał renegat z Zakonu św. Jana, Niemiec, zwany w kronikach Meister Georg, którego znajomość dokładna wyspy i twierdz rodyjskich ułatwić miała Turkom lądowanie i atak. Natychmiast też przypuszczono szturm, a zwykłą zaciekłość tureckich żołnierzy zdwajała tym razem jeszcze nadzieja niezwykłego łupu, gdyż bogactwo Joannitów we wschodniej wyobraźni do legendarnych wybujało rozmiarów. Dniem i nocą pędził turecki wódz coraz to nowe siły pod mury twierdzy, ale dniem i nocą czuwał na ich szczycie, otoczony rycerstwem zakonnem, wielki mistrz. Chociaż pięć razy w ciągu bojów ranny, nie schodził on z posterunku, i o żelazny jego opór rozbijały się i załamywały jedne po drugich zapędy szturmujących. Ufny

w liczebną przemoc swoich wojsk, zżymał się sułtan na opóźnianie zwycięstwa i przysyłał z Konstantynopola naglące rozkazy. Dzięki dzielności wielkiego mistrza i jego rycerzy, mijały przecież tygodnie i miesiące, a twierdze rodyjskie stały niezdobyte i na Zachodzie rosła sława ich obrońców. I rzeczywiście, dziś jeszcze na ciemne tło drugiej połowy XV wieku, wśród tylu klęsk niezdolnych już do własnej obrony chrześcijan, rzuca ta obrona Rodu jasny promień, i współczesne jej opisy brzmią jak dalekie echo bohaterskiego rapsodu z pierwszych wojen krzyżowych. Po trzech miesiącach musiał Mesih-basza zaniechać oblężenia i opuścić wyspę, którą zalegały trupy poległych Turków, i odpłynął ku wybrzeżom Azji Mniejszej. A Mahomet II, który od bitwy pod Belgradem z r. 1456 spotkał się po raz pierwszy z dzielnym oporem chrześcijan, zamknął się i oddał już cały przygotowaniom odwetu i zemsty, kiedy go nagle zaskoczyła śmierć.

Toteż gdy w rok zaledwie po tym zgonie wysłańcy tułaczego jego syna zjawili się na wyspie Rodus, ocenił wielki mistrz odrazu, jak ważna karta w grze politycznej świata dostaje mu się do ręki. Dżem odwoływał się do wspaniałomyślności odwiecznego wroga swego domu i prosił o pozwolenie schronienia się na wyspie, o wolny każdego czasu wjazd i wyjazd, oraz o radę i pomoc w ciężkiej swojej doli. Natychmiast wysłał Aubusson okręty na wybrzeża azjatyckie z rozkazem, ażeby w umówionem miejscu wzięły księcia na pokład i przywiozły go na gościnę w Zakonie. W nielicznem już otoczeniu pretendenta nie brakło takich, którzy do końca go przestrzegali, aby nie ufał obietnicom chrześcijan i nie powierzał im swego losu; ale na dłuższe wahania było zapóźno, bo odwrót w bezpieczne kryjówki górskie zamykał pościg żołnierzy Bajazeta, zbliżających się już do morskich wybrzeży. W ostatnich dniach lipca 1482 r. wsiadł więc młody książę na okręt i może w przeczuciu swych przyszłych kolei »smutny i zadumany« — *tristis et cogitabundus*, jak mówią współczesne kroniki Za-

konu — pożegnał rodzinną Azję, której już nigdy nie miał ujrzeć.

Jakby dla głośnego zaznaczenia wagi, jaką przywiązywał do osoby dostojnego tułacza, zgotował mu wielki mistrz świetne przyjęcie. Wszyscy mieszkańcy Rodu wylegli na wybrzeże, ażeby powitać syna groźnego sułtana Mahometa, przyjrzeć mu się zbliska i towarzyszyć mu w pochodzie. Droga, którą po wylądowaniu ruszył pochód, zasłana była kwiatami, domy pokryte drogocennemi kobiercami, a przed katedrą św. Sebastjana oczekiwał gościa w otoczeniu komturów i innych dostojników Zakonu sam Piotr d'Aubusson, siedząc na koniu, którego szczerozłote wędzidło i wysadzany klejnotami rząd lśniły się i mieniły w blaskach słonecznych. Wśród bicia dzwonów, dźwięku trąb i huku moździerzy fortecznych przyjął wielki mistrz księcia i odprowadził go *ad palacia Francorum equitum* — do przygotowanej dla niego i jego świty kwatery w gospodzie francuskiej.

Zakon rycerzy św. Jana miał więc od tej chwili pretendenta tureckiego w ręku, a obeznany lepiej niż ktokolwiek naówczas ze sprawą turecką wielki mistrz wiedział dobrze, że z taką bronią, wśród zamąconych po śmierci Mahometa II stosunków w Turcji, naprawdę zgnieść było można, za wspólnym wysiłkiem Zachodu, stworzoną przez zmarłego zdobywcę w Europie muzułmańską potęgę. Potrzeba było tylko, aby państwa zachodnie w bratobójczej walce sułtańskich synów czynnie poparły młodszego, bo Dżem sam się zobowiązywał oddać za tę cenę chrześcijanom wszystkie wydarte im przez ojca ziemie. W tym duchu brzmiało też orędzie, wystosowane do papieża i do królów i rządów chrześcijańskiego Zachodu, w którem Aubusson donosił o przybyciu Dżema na wyspę Rodus i wzywał do podjęcia wspólnej wyprawy na Turków. Wielokrotnych już pod tym względem doznawszy zawodów, przeczuwał jednak, że i tym razem głos jego pozostanie głosem na puszczy, i stąd w znamiennym zwrocie zastrzegał sobie zgóry,

że jeżeli wołanie jego nie znajdzie posłuchu, to w sprawie Dżema działać będzie »wedle danych warunków i interesu Zakonu«. Podobnie jak on, tak zresztą i sam książę nie pokładał widocznie zbyt wielkiej w pomoc Zachodu nadziei, kiedy już z wyspy Rodus, po kilkodniowym zaledwie tam pobycie, zwracał się do brata z prośbą o przebaczenie winy i przyjęcie do łaski. »Nie ścierpisz — pisał, — o Panie, ażebym dłużej pozostawał niewolnikiem niewiernych, ja, Muzułmanin, co wymawiam święte słowa: Jeden jest Bóg, a Mahomet jego prorokiem«. Ale z innej strony właśnie ten brak wiary w pomoc Zachodu uprzytomniał i wielkiemu mistrzowi i samemu księciu niebezpieczeństwa, jakie dla obu musiałyby wyniknąć z dłuższego pobytu tego ostatniego w gościnie Zakonu na wyspie. Jasnem bowiem było, że Dżem, prędzej czy później, sprowadzi na Zakon nowe gromy tureckie i że na tej oazie, pośród rozległych tureckich przestrzeni, niełatwo będzie ustrzec młodszego brata przed zasadzkami starszego, który wszystkie siły wytęży, aby dostać Dżema w swoją moc, albo go podstępem zgładzić.

Żeby temu zapobiec, postanowił więc Aubusson wysłać Dżema na Zachód, do Europy. Liczył na to, że tam, w ustronnych zamkach Zakonu we Francji — *apud Gallias, ubi monstra non gignuntur, ubi carent insidiis ac tabes toxici ignoratur*[1] — jak pisał wicekanclerz Zakonu, Caoursin, łatwiej zdoła ubezpieczyć księcia od grożących jemu i Zakonowi niebezpieczeństw. Sam Dżem temu zamiarowi przyklasnął, łudząc się, że na wolnej w Europie pozostawiony stopie, zbliży się do władców Zachodu i zdoła ich sobie zjednać. Nie upłynął więc miesiąc od uroczystego przyjęcia Dżema na wyspie, kiedy wielki mistrz zgromadził znów przełożeństwo zakonne

[1] ... »we Francji, która nie rodzi potworów, gdzie niema zasadzek i nie znają jadu trucizny...« *Guillelmi Caoursin, Rhodiorum Vicecancellarii: De casu regis Zizimi Comment.* Cyt. w L. Thuasne, *Djem-Sultan*. Paris 1892.

przy uczcie pożegnalnej na cześć odjeżdżającego księcia. Opis tej uczty pozostawił w swych komentarzach, dotyczących osoby tureckiego pretendenta, przytoczony powyżej Caoursin,[1] a opis ten przenosi czytającego z historji w dziedzinę poezji i przypomina mu w uderzający sposób obraz uczty wydanej przez inne rycerstwo zakonne dla innego dostojnego zbiega, który »dawniej był wrogiem, dziś gościem Zakonu«... Do stołu zasiada wielki mistrz, otoczony komturami, a obok niego książę turecki. Dla uweselenia biesiadników śpiewają bardy, pieją minstrele, a jakiś Anglik przygrywa na splecionych fletach i budzi podziw słuchaczy. Tylko Dżem siedzi ponury i milczący, aż wielki mistrz woła tureckiego niewolnika i każe mu śpiewać dziką pieśń turecką. Rodzime dźwięki budzą gościa z zadumy i po raz pierwszy igra uśmiech na bladem jego obliczu...

Nazajutrz wsiadł Dżem na okręt i otoczony silną strażą rycerzy zakonnych opuścił wyspę. Ale przed wyjazdem wręczył wielkiemu mistrzowi pismo, w którem stwierdzał, że nieprzymuszony i z wolnej odjeżdża woli i zobowiązywał się, na wypadek odzyskania spuścizny po ojcu, do wieczystego pokoju z Zakonem; drugim dokumentem uprawomocniał Zakon do układów w jego imieniu z bratem. Jakoż układy rozpoczęły się natychmiast, i zaledwie okręt uprowadzający Dżema opuścił Rodus, już drugi, z poselstwem zakonnem na pokładzie, płynął ku wybrzeżom Azji Mniejszej na spotkanie wysłanników sułtańskich. Tylko przezorny Aubusson nie spodziewał się prędko jakiegokolwiek wspólnego przedsięwzięcia na Zachodzie, więc odkładał na bok roszczenia Dżema i działał tylko stosownie do zapowiedzi, zawartej w piśmie swojem do papieża: »wedle danych warunków i w interesie Zakonu«. Mając pretendenta w swojem ręku, liczył na ustępliwość Bajazeta i pragnął korzystnym dla Zakonu pokojem zakończyć długoletnie walki

[1] Dłuższe ustępy tego komentarza, zawierające i opis owej uczty pożegnalnej, drukowane w dodatku do *Diarium Johannis Burchardi* t. I (edit. Thuasne. Paris 1885).

z Turcją. I rzeczywiście, zawarty w grudniu 1482 r. traktat był dla Zakonu ze wszechmiar pomyślny, bo poręczał mu wolność ruchu i handlu na morzach tureckich. O Dżemie i jego pretensjach nie było w traktacie mowy. Ale Bajazet poufnie kazał zapewnić wielkiego mistrza, że wdzięczny mu jest za oznaki czci, z jakiemi Zakon przyjął jego brata na wyspie, że obowiązuje się płacić na odpowiednie jego dostojeństwu utrzymanie 45,000 dukatów weneckich rocznie i — co najważniejsza — że go poleca czujnej straży Zakonu. Ze swej strony zapewnił Aubusson sułtana, że przyjmując gościnnie Dżema w Zakonie, nie myślał go nim niepokoić, byleby go sam własną polityką do tego nie zmusił. Tak więc chytrym zwrotem oddawał Bajazet zbuntowanego brata pod płatną niejako straż rycerzy św. Jana, straż, jaką Aubusson we własnym już interesie najsurowiej otoczyć Dżema zamierzał.

Tymczasem wielka nawa skarbowa Zakonu płynęła ku wybrzeżom Francji, uprowadzając nieświadomego swej przyszłości tureckiego księcia. Podróż przemijała spokojnie i tylko w cieśninie Messyńskiej czujność strażujących przy księciu rycerzy pierwszą przebyła próbę. Bo gdy pewnej nocy Dżem, zwabiony widokiem zionącej ogniem Etny, kazał sobie podać wieczerzę na pokładzie, światła bijące z pomostu zdradziły obecność nieznanego okrętu weneckiej flocie wojennej, która krążyła właśnie w tych okolicach. Na rozkaz komturów pogaszono natychmiast światła, a Dżema i jego świtę turecką ukryto na dnie nawy. O świcie zwinny okręt wenecki dognał nawę rodyjską. Ale poznawszy na jej żaglach godła rycerzy św. Jana, nie bronili jej Wenecjanie dalszej żeglugi, a wypytywali tylko ciekawie o losy księcia Dżema, które tak żywo obchodziły Wenecję. Komturowie odrzekli, że od chwili przybycia na wyspę Rodus gości Dżem nadal w stolicy Zakonu.

W połowie października wylądował turecki książę w Nizzy. Liczył on wtedy lat 23, a Caoursin taki jego w onych dniach kreślił wizerunek: »Książę Dżem jest wzrostu średniego, twarz

ma groźną, a oczy niebieskie i nieco skośne ocieniają gęste brwi, z których jedna podniesiona w górę, druga opada na oko. Usta ma małe, o grubych, wydętych wargach, nos orli, przy końcu nieco zakrzywiony, i krótką, przy skórze strzyżoną, kasztanowatego koloru brodę. Łatwo unosi się gniewem, a wtedy przewraca oczyma i wydaje z siebie głos, do koziego podobny. Wino wypluwa, jeżeli mu go wpierw nie przyprawią aromatami, bo o takiem mówi, że zmieniło swoją materję, tak jak ocet winny, który zatraca swój pierwiastek. Pije i je łakomiej, aniżeli na księcia przystoi, rzekłbyś, że nie je, ale pożera; strawy nie przeżuwa, tylko ją jednym pochłania łykiem. Wodę słodzi cukrem. Gorąca, zimna lub głodu nie znosi. Ubiera się bogato i często zażywa łaźni. Oddany wiernie mahometańskiej wierze, przestrzega ściśle jej przykazań; toteż gdy ujrzy którego ze swych tureckich towarzyszy pijącego wino, z gniewem go karci. Turecki język zna doskonale, bo umysł od młodości w naukach zaprawiał. Kiedy spokojnie rozmawia, wyraża się z powagą, przystojnością i miarą, ale wogóle mówi mało. Choć tułacz i bezdomny, nigdy nie zapomina o książęcem swem dostojeństwie. Otaczającym go pilnie się przypatruje, sam smutny zawsze i zamyślony«.

»Smutny i zamyślony« był ten wschodni młodzieniec, przerzucony z rodzinnej Azji na daleki Zachód, pośród ludzi obcej mu wiary i języka, obyczajów i pojęć, zepchnięty ze stopni tronu na życie tułacze, niemal więzienne. Z dni po wylądowaniu w Nizzy zachowała literatura turecka kilka jego wierszy. W jednym z nich brzmi jakby otucha: wita Frangistan (Francję), gdzie się los jego rozstrzygnie, i cieszy się, że przybył tam zdrów i czerstwy, »bo zdrowie i czerstwość dają prawdziwą władzę nad wszystkiem i kłamie Bajazet, jeżeli mówi, że mu korona daje szczęście: albowiem niczyja władza nie jest wieczną«. Ale może tam, na tem wąskiem wybrzeżu pomiędzy górami Sabaudji a morzem Śródziemnem, u progu tułaczki, a w chwili pierwszych rozczarowań i pierw-

szego poczucia niewoli, powstał ten inny jego wiersz, tchnący głęboką melancholją: [1]

Patrz na falę, co bije o skalisty gród,
Aż z litości nademną cofa się w głąb wód. — Patrz!
Patrz, jaką rosą płaczą ciemne szczyty gór,
Aż głusząc jęki wichrów grzmot się ozwie z chmur. — Patrz!
Patrz, czy to ból tak rozdarł szary świtu smug,
Że zorza zda się spływać rzeką krwawych strug? — Patrz!

I tak rozpoczynało się, a trwać miało przez lata, tułacze życie Dżema. Pilnujący go rycerze św. Jana nie szczędzili mu zewnętrznych oznak czci i otaczali go zbytkiem. Ale strzegli go jak oka w głowie, bacząc na każde słowo, krępując każdy jego ruch i odgraniczając go zwolna od świata i ludzi. Szczególnie przestrzegano, aby książę nie nawiązał bezpośrednich stosunków z panującymi lub z ich rządem. Dlatego posłów, których wyznaczał z bliższego swego tureckiego otoczenia i wysyłał naprzemian to na królewski dwór francuski, to do Macieja Korwina na Węgry, chwytać kazali rycerze, osadzać pod ryglami w dalekich zamkach zakonnych, albo odstawiać na okręty, odpływające na Wschód. Daremnie wyczekiwał potem książę odpowiedzi: wykrętami tłumaczyli mu strażnicy opóźnienie powrotu jego posłańców. Czuwano również pilnie, aby z zewnątrz nie docierało do księcia nic, coby go do samoistnych działań podniecać mogło. Żył on więc w zupełnej nieświadomości wszystkiego, co się wokoło niego działo. Wiedział, kim jest i czem się stać pragnie, czuł, że świat się ciągle nim zajmuje i że się losy jego ważą. Ale na rozstrzygnięcie tych losów wpływać mu nie było wolno. Kiedy po kilkoletnim już pobycie we Francji jeden z dworzan króla Karola VIII zapytał go pewnego razu, dlaczego w ciągu tak długiej gościny

[1] Według niemieckiego przekładu w Hammer-Purgstall, *Geschichte der Osmanischen Dichtkunst* (j. w.).

na ziemi francuskiej nie próbował nigdy przybyć na dwór królewski, i »przyjrzeć się owym pięknościom, córom wróżek, których tam tak mnogo«, — zdumiony książę odparł, iż go król, jak mu opowiadali strażnicy, pod żadnym warunkiem w obręb swej stolicy, jako wyznawcy Proroka, nie wpuści.

Ruiny zamków w Rumilly, Rochechinard, Monteil, Morterolles, Boislamy, Bourganeuf, związane są z nazwiskiem Dżema, który w nich dłużej lub krócej przebywał. Bo jednostajność więziennego prawie życia przerywała jedynie ciągła zmiana miejsca pobytu. Z Sabaudji do Delfinatu, z Delfinatu do Auwernji przeprowadzali go z kolei pilnujący go rycerze zakonni, jakby dla ukrycia go coraz głębiej na lądzie, a oddalenia od Śródziemnego morza, o którego losach chciał w złudzeniach swoich rozstrzygać. Z nazwiskiem zamku w Rochechinard łączy się jedyne zresztą romantyczne wspomnienie z dziejów Dżema. Tam bowiem, wedle podania, poznał on i zakochał się w córce sąsiedniego barona, pięknej Filipinie de Sassenage. Krótka wzmianka w annalach tureckich Seadeddina stwierdza podobno tej tradycji prawdę. Lecz późniejsze dopiero powieści francuskie z XVII w. ubrały w szczegóły, zaczerpnięte z fantazji, przelotny ten epizod miłosny.

Zresztą pilnowanie Dżema wymagać musiało istotnie coraz większej czujności stróżów, skoro ostatniem a najdłuższem dla niego schroniskiem czy więzieniem we Francji stał się umyślnie na ten cel pobudowany zamek w Bourganeuf, zamek, a raczej warowna wieża, po dziś dzień *la Tour de Zizim* zwana, podzielona na siedm pięter, których środkowe — jakby dla łatwiejszej straży z góry i z dołu — zajmował Dżem. Na tak wzmagającą się ostrożność wpływały zapewne niezręczne próby ucieczki, do których nakłaniała księcia szczupła pozostawiona przy nim świta turecka, ale jeszcze więcej z pewnością nieustające starania najbardziej na najazdy tureckie wystawionych państw i rządów, które ubiegały się na wyścigi o odstąpienie im Dżema. Bo znanem było powszechnie, jak zręcz-

nie i skutecznie działał Aubusson imieniem Dżema na Bajazeta: kiedy się Turcy posuwali na północ lub nad Morze Czarne, wielki mistrz milczał; ale ilekroć zbroili flotę, co zagrażało sferze interesów Zakonu na Morzu Śródziemnem, natychmiast przypominał Aubusson sułtanowi pretensje Dżema i paraliżował jego ruchy. Najskwapliwiej zabiegał o wydanie mu Dżema skazany już samem położeniem swego państwa na wieczne boje z Turkami król węgierski, Maciej Korwin. Podobne czynił starania sudan egipski, Kait-bey, odkąd Turcy zajęli graniczące z Egiptem wybrzeża Syrji. Wreszcie ubiegał się o niego król neapolitański, Ferrante. Mając w świeżej pamięci zajęcie Otrantu, wiedział on dobrze, że każdy ponowny atak Turków na Włochy na jego najpierw uderzy kraje, i dlatego chciał sobie dla nich z Dżema stworzyć puklerz. Tylko przezorna Wenecja, choć ją wskutek handlu na Wschodzie tak blisko obchodziło wszystko, co dotyczyło Turcji, trzymała się zdaleka od intryg wokoło osoby pretendenta. Ale śledziła te intrygi bacznie i dzieliła się ponadto własnemi informacjami z sułtanem. Podobne usługi oddawał Bajazetowi Ferrante neapolitański. W ten sposób więc nadużywano osoby księcia, aby naprzemian straszyć nim sułtana, lub jednać sobie jego łaski, albo żeby tę sprawę wygrywać w sporach pomiędzy sobą.

Tymczasem skończył się był burzliwy pontyfikat Sykstusa IV, a na Stolicę Apostolską wstąpił Innocenty VIII, z genueńskiego rodu Cibo. Łagodniejszego usposobienia niż gwałtowny jego poprzednik, mniej niż tamten i nie tak namiętnie mieszający się w wewnętrzne spory, które naówczas rozsadzały Włochy, nie miał on przecież ani dostatecznych zdolności, ani potrzebnego hartu, aby się dodatnio zaznaczyć na piastowanym najwyższym urzędzie. Ale jak sprawa turecka od zdobycia Konstantynopola przez Mahometa II górowała w polityce kościelnej ponad wszystkie inne, to okazuje się właśnie z tego, że nawet tak słaby zresztą i blady następca Piusa II, jakim był Innocenty VIII, podjął przecież myśl wiel-

kiego swego poprzednika, z energją, jakiej był zdolny, i z wysiłkiem, na jaki go było stać, i że temu programowi pozostał przez całe ośmiolecie swych rządów wierny.

Rzecz naturalna, że wobec takiego programu osoba Dżema nie mogła mu być obojętną. Toteż zostawszy papieżem, odrazu począł nalegać na wielkiego mistrza o wydanie mu pretendenta. Odpowiadało to zresztą pierwotnemu układowi Zakonu z kurją rzymską, gdyż już w chwili przybycia Dżema na wyspę Rodus oświadczył był Aubusson gotowość oddania go Stolicy Apostolskiej, skoro stanie się jej potrzebnym dla celów krucjaty. Ale wzamian za to żądał on teraz licznych przywilejów dla Zakonu, a kapelusza kardynalskiego dla siebie. Miało to być nagrodą za dzielną obronę Rodu, właściwie było raczej zapłatą za Dżema. Innocenty VIII przyjął te warunki. Do zakończenia sprawy sporo jeszcze przecież miało upłynąć czasu, gdyż o losach Dżema rozstrzygał obok wielkiego mistrza i król francuski: za zezwoleniem dworu paryskiego stanął był bowiem Dżem przed siedmiu laty na ziemi francuskiej, od woli Karola VIII zależał teraz wyjazd jego z Francji.

Rozpoczęte w tej mierze układy szły opornie. Zarysowywał się już bowiem antagonizm Walezjuszów do Habsburgów, co mąciło stosunki dworu paryskiego z popierającym dom austrjacki Innocentym VIII. Prócz tego w chwili, kiedy się miały ponownie rozstrzygać losy Dżema, wszystkie dwory, ubiegające się o jego osobę, zdwoiły wysiłki, aby pokrzyżować plany papieskie. Zjawił się odrazu na dworze paryskim poseł Macieja Korwina, Pruisz, biskup z Veszprim, który wspaniałością swego orszaku olśniewał wszystkich, a hojnością jednał sobie zwolenników w otoczeniu królewskiem. Równocześnie zręczny Wawrzyniec Medyceusz obietnicami wysokiej ceny za wydanie mu Dżema wpływał na wszechwładną naówczas we Francji, a chciwą starszą siostrę Karola VIII, panią de Beaujeu. Wreszcie za pośrednictwem starego wroga Rzymu i papiestwa, neapolitańskiego króla Ferrante, stanął przed Karolem VIII

wysłannik samego Bajazeta i dalekonośnemi obietnicami nakłaniał króla, żeby nie wypuszczał Dżema ze swej »opieki« i nie wydawał go w ręce papieża. Potrzeba było niemałej wytrwałości i zręczności legata papieskiego, Chieregato, aby usuwać po kolei liczne przeszkody, jakie stawały ciągle wpoprzek jego misji. Wreszcie za otrzymaną zgodą króla opuścił Dżem z końcem 1488 r. zamek w Bourganeuf i pod silną eskortą rycerzy św. Jana, którym i nadal zastrzeżoną była straż nad pretendentem, przez Lyon i Avignon dotarł do Toulonu, gdzie wsiadł na oczekujący go tam okręt rodyjski. Ostrożnie, w ciągłej obawie zasadzki tureckiej lub neapolitańskiej, popłynął okręt zakonny, otoczony galerami papieskiemi, wzdłuż liguryjskiego wybrzeża na południe, i po kilkunastu dniach wylądował książę w Civita Vecchia, gdzie oczekiwali go wysłannicy papieża.

Dnia 13 marca 1489 r. nastąpił uroczysty wjazd pretendenta tureckiego do Rzymu. Kroniki współczesne i relacje posłów obfitują w obszerne opisy jego przyjęcia, a papieski mistrz ceremonji, Burchard,[1] z właściwą sobie pedantyczną drobiazgowością zapisuje każdy szczegół uroczystości. Dla żądnego po wszystkie czasy widowisk ludu rzymskiego nielada widowiskiem był bowiem wjazd tego Turka, tego nawpół gościa nawpół więźnia, którego posiadanie było wedle powszechnego mniemania rękojmią bezpieczeństwa, może i odwetu na Turkach. Przypominano sobie podawaną z ust do ust od lat groźną przepowiednię, że sułtan wkroczy do Rzymu i zamieszka w Watykanie, i w przybyciu Dżema witano radośnie inne, szczęśliwe jej spełnienie. Okna i dachy przepełnione były widzami, a na ulicę wyległy takie tłumy gawiedzi, że pochód z trudem torował sobie drogę i zwolna od Porta Portensis, przez dawny Pons Cestius, Piazza Giudea i Campo di Fiore

[1] *Johannis Burchardi Argentinensis, Capellae pontif. sacrorum rituum magistri, Diarium.* 3 t., Paris 1885.

posuwał się ku pałacom watykańskim. W pochodzie postępowali łucznicy papiescy, rycerze rodyjscy, turecka służba księcia, a dalej wysłane na przyjęcie gościa świeckie dwory kardynałów, posłowie zagraniczni ze świtami, senatorowie i panowie rzymscy, goszczące podówczas w Rzymie poselstwo sułtana babilońskiego, wreszcie z ramienia papieża Franceschetto Cibo, i jako legat Karola VIII przeor rycerskiego zakonu św. Jana, Guy de Blanchefort. A pomiędzy nimi, na siwym koniu, ofiarowanym mu przez Innocentego VIII, *othumunidem ferocitatem prae se ferens*, »z wyrazem otomańskiej dzikości na licach« — jak mówi lubujący się w patetycznych rysach Caoursin, — jechał sam Dżem.

Nazajutrz przyjął Innocenty VIII księcia na publicznym konsystorzu. Zwolniono go od zwyczajnego ceremonjału przyklękania i całowania stóp papieskich, aby nie narażać prawowiernej jego sławy u współwyznawców. »Na środku sali — pisze Burchard, — przed tronem papieskim, gdzie inni klękać zwykli, zatrzymał się Turek, i stojąc, pochylił nieznacznie nakrytą głowę w stronę papieża, tak, że w tem trudno było ukłon rozpoznać. Podszedłszy bliżej, objął papieża ręką i zlekka go w prawe ramię pocałował. Następnie przez tłumacza wyraził radość, że dotarł do osoby papieża, i polecił się jego łasce. Papież odrzekł, że oddawna go już w Rzymie widzieć pragnął, i życzył mu, aby był dobrej myśli, gdyż wszystko się na jego dobro i korzyść obróci«.

Tak więc z cichych ustroni odległych zamków zakonnych we Francji przeniosły teraz losy nieszczęśliwego Dżema w ruch i gwar stołeczny, w świetne i aż nazbyt w owych czasach zgiełkliwe życie w Watykanie. Łowy, biesiady, muzyka, miały z woli papieża skracać czas gościowi, którego egzotyczność bawiła Rzym i wzniecała ciekawość miejskiej gawiedzi. Nie przestawał być i nadal narzędziem politycznem, ale stał się równocześnie zabawką publiczności. »Brat sułtana

Biblioteka Wojskowa
4*
Nr. 16.
49 PUŁK PIECHOTY

mieszka tu, w pałacu, pod dobrą strażą. Wymyślają dla niego rozmaite rozrywki. Niekiedy zachodzi na biesiadę do nowego pałacu, gdzie jestem właśnie malowaniem zajęty, i wyznać muszę, że jak na barbarzyńcę zachowuje się wcale przyzwoicie. Z postawy dostojny i dumny, nawet w obecności papieża nie odkrywa głowy, więc i przed nim nikt nie zdejmuje czapki. Pięć razy na dzień zasiada do stołu, i tyleż razy kładzie się spać. Przed jedzeniem pije wodę z cukrem, jak małpa. Chodzi jak słoń, a porusza się z gracją weneckiej beczki. Jego świta wychwala go wielce jako znakomitego jeźdźca, ale ja go w strzemionach dotąd nie widziałem. Oczy ma zawsze nawpół przymknięte. Z natury okrutny, czterech już podobno zabił ludzi. W tych dniach tak obił tłumacza, że go na ocucenie do rzeki nieść musiano. Łatwo wpada w gniew, więc jego ludzie drżą przed nim. Wygląda jakby go nic nie obchodziło i jakby niczego nie rozumiał. Sypia w ubraniu, a przyjmuje gości siedząc na skrzyżowanych pod sobą nogach, jak krawiec. Na głowie nosi ze 30,000 (!) łokci płótna, a pludry ma tak szerokie, że cały mógłby się w nich schować. Wyraz twarzy jego straszny, mianowicie gdy zapłonie gniewem«[1]. Portret to karykaturalny, ale ciekawy, bo kreślił go, w liście pisanym do margrabiego Gonzagi z Mantui, zajęty podówczas właśnie malowaniem fresków w zburzonej dziś niestety kaplicy watykańskiego Belwederu, wielki Mantegna.

Istotnie zresztą siedm lat spędzonych napróżno we Francji, tyle rozwianych nadziei i niepewna przyszłość rozgoryczyły Dżema, wyrodziły w nim chorobliwą irytację i podkopały zdrowie; na którem coraz częściej zapadał. Stan ten niepokoił papieża tem więcej, że nie brakło i z zewnątrz zamachów na życie pretendenta. Już w kilka dni po jego przybyciu do Rzymu schwytano jakiegoś Turka, który udawał zbiega z dworu w Kon-

[1] List cyt. w Reumont, *Geschichte der Stadt Rom* (t. III A) i w Thuasne, *Djem-Sultan*.

stantynopolu i szukał służby u Dżema, aż uwięziony zeznał na torturze, że z rozkazu króla neapolitańskiego miał zamordować księcia. Innym znów razem wydawała Wenecja papieżowi niejakiego Magrina, najemnika sułtańskiego, który zamierzał zatruć studnię, skąd czerpano wodę na stół Dżema. Śmierć jego, naturalna czy gwałtowna, mogła każdej chwili wytrącić papieżowi z ręki ową broń przeciw sułtanowi, na którą najwięcej liczył. Należało więc przyśpieszyć działanie.

W tym celu w r. 1490 zwróciła się znów Stolica Apostolska do dworów i rządów chrześcijańskich z wezwaniem na kongres do Rzymu, dla przygotowania wspólnej wyprawy na Turków. Silnie zaiste musiało tkwić jeszcze wszędzie uczucie niebezpieczeństwa, grożącego od Wschodu, jeżeli tak zimni politycy, jak papieże z końca XV w., pomimo tylokrotnie zwichniętych prób nie tracili nadziei, że im się uda rozstrzelone interesy Europy do jednego sprowadzić mianownika i kierujących niemi we wspólnym sprząc celu. Niemożliwość takiej sztuki w danych warunkach dobitnie stwierdzał w oracji do Innocentego VIII orator króla polskiego, Kallimach, którego Kazimierz Jagiellończyk, ubiegający się właśnie o kapelusz kardynalski dla syna, Fryderyka, na wiosnę tegoż roku 1490 do Rzymu przysłał. Bystry nauczyciel Jagiellońskich królewiczów wywodził, że z papieży jedyny dotąd Pius II słusznie nie przeceniał potęgi tureckiej, kiedy nie mogąc zjednoczyć wokoło tego przedsięwzięcia wszystkich sił chrześcijańskich, gotów był z cząstką ich tylko uderzyć na wroga; toż on — Kallimach — po dwakroć bywał w Turcji i zbliska przyjrzał się Turkom, a z ubóstwa ich kraju, z rzadkości jego zaludnienia powziął przekonanie i wyciągnął wniosek, że i bez pomocy całej Europy, skromniejszemi siłami, możnaby ich zgnieść; niechby więc papież Innocenty porzucił myśl wielkiej krucjaty, a zawarł przeciw Turkom przymierze z królem polskim, *cuius populi ab ipsis cunabulis tuenda religione nostra erudiuntur, nec*

quicquam in omni vitae cursu aut frequentius agunt, aut pertinacius, ut insultent infidelibus [1].

Słuszny sceptycyzm Kallimacha co do powszechnej wojny krzyżowej nie zniechęcił papieża, a zebrani na kongresie posłowie nietylko że uznali, jak niegdyś za Piusa II w Mantui, zasadniczo potrzebę wspólnej krucjaty, ale nawet zgóry rozdzielili pomiędzy sobą przypadające na każde państwo zadanie. Wojska papieża i książąt włoskich miały lądować w Peloponezie, francuskie, hiszpańskie i angielskie na wybrzeżach albańskich, a Niemcy, Polacy i Węgrzy mieli od północy wkroczyć do Turcji. Rozumie się samo przez się, że Dżem był ośrodkiem wszystkich planów i kombinacyj, i na kongresie zastanawiano się już i nad tem, czy pretendent na wolnej stopie, czy też strzeżony — jak dotąd, — uczestniczyć ma w wyprawie.

Ale jeszcze przed zamknięciem kongresu wieść o śmierci Macieja Korwina, najdzielniejszego protagonisty chrześcijańskiego świata w walkach z Turkami, zachwiała przedsięwzięciem, a wnet wybuchłe nowe spory w środkowej Europie o tron węgierski oraz wznowione kłótnie Walezjuszów z Habsburgami o spuściznę burgundzką, wreszcie zajątrzony znów konflikt papieża z Neapolem, zepchnęły ponownie na dalszy plan sprawę turecką. Kongres jednak obudził czujność Bajazeta, a poruszenie na tem zebraniu sprawy i pretensyj brata wzmogło jego drażliwość. Po niedoszłym zamachu Magrina, straconego w Rzymie na rusztowaniu, powtórna próba pozbycia się Dżema sztyletem lub trucizną była zbyt trudną i niebezpieczną. Należało szukać innej drogi, i sułtan postanowił zwrócić się wprost do papieża. Nie dobiegł więc jeszcze końca rok

---

[1] ...»którego ludy od kolebki wychowują się na stróżów naszej wiary i przez cały żywota bieg ciągle i wytrwale zwalczają niewiernych«. *P. Callimachi de bello Turcis inferendo Oratio ad Innocentium VIII.* Hagenone, ex off. Seceriana, 1533.

kongresu, kiedy poselstwo tureckie stanęło u wrót Watykanu. Sułtan ofiarowywał pokój, który coprawda miał się ograniczać tylko do nadbrzeżnych morza Śródziemnego krajów. Innocenty VIII z godnością ten warunek odrzucił, odpowiadając, że się w takiej, wszystkie chrześcijańskie państwa zarówno obchodzącej sprawie wpierw z niemi porozumieć musi. Ale co do osoby Dżema stanęła umowa, podobna do zawartej przed kilku laty z wielkim mistrzem, wedle której miał teraz książę pozostawać w Rzymie w rękach i pod opieką papieża, a sułtan zobowiązywał się doroczne wpłaty na utrzymanie brata, składane dotąd w skarbie Zakonu św. Jana, składać odtąd skarbowi papieskiemu. W ten sposób w położeniu Dżema, z wyjątkiem miejsca pobytu, nie zmieniło się nic: z dotychczasowego więźnia Zakonu, stał się więźniem papieża. A ubezpieczywszy się od tej strony, począł sułtan pilnie zabiegać o względy nowego opiekuna swego brata i niebawem przysłał Innocentemu VIII przechowywaną wedle tradycji od VI wieku w Konstantynopolu włócznię Longina, której ostrze złożył był niegdyś św. Ludwik w paryskiej Sainte Chapelle. Przyjęcie świętej relikwji u bram miasta i odniesienie jej do bazyliki św. Piotra było ostatniem publicznem wystąpieniem zapadającego coraz bardziej na zdrowiu papieża. Wkrótce choroba powaliła go na łoże, z którego się już nie miał dźwignąć. Jednem z pierwszych zarządzeń obejmującego rządy kolegjum kardynalskiego było zaś wzmocnienie straży pilnującej Dżema, gdyż po Rzymie krążyły głuche wieści, że go Franceschetto Cibo chce porwać i wydać z chwilą śmierci papieża w ręce króla Ferrante. Jak dotąd, tak i nadal był on przedmiotem pożądliwości wszystkich dworów i rządów.

IV

WYPRAWA KAROLA VIII NA WŁOCHY.

Tymczasem zbliżał się przełom w dziejach Włoch, nadchodziły wypadki, które je porwać miały w wir i ugiąć na długie wieki pod obce jarzmo. Od XII w., od przebudzenia się miast włoskich, przez dwa stulecia, XIII i XIV, urabiał się i doskonalił język włoski, a w ślad za tem, pomimo rozdrobnienia na tyle odrębnych politycznych organizmów, pomimo dzielących granic i murów, istniało przecież jakieś poczucie narodowej spójni. Już przecież Dante i Petrarka odzywali się do jednej, całej Italji, kiedy ją pierwszy gromił za niezgodę w piorunnej inwektywie VI-ej pieśni *Czyśćca* i porównywał do okrętu bez sternika wśród burzy, a drugi wzywał w słynnej IV-ej kanzonie do pokoju zaklęciem na wspólną »szlachetną krew Latynów« — *Latin sangue gentile.* — Zdumiewającą bujnością znaczą się te wieki w nauce, w poezji i sztuce i wysuwają Włochów na czoło cywilizacji, uprawniają ich istotnie do dumnego podciągania innych ludów świata pod wspólne miano barbarzyńców. Wiek XV oznacza tego rozkwitu szczyt. Ale w zbytniem spotężnieniu i rozroście kilku większych tworów politycznych, jak Wenecja, Medjolan, Florencja, Rzym i Neapol, krył się już zarodek upadku: dawniejszy antagonizm, który objawiał się zrazu w rodzajnem współzawodnictwie, a wyładowywał w bezkrwawych zwykle, do turniejów raczej podobnych walkach, zamienił się w XV wieku, głównie za sprawą świeżo a na gwałtach wyrosłych dynastów, w głęboką, przenikającą wszystko zawiść. Nikt nikomu nie wierzył, każdy zaprzeczał drugiemu prawa do uzurpowanej istotnie władzy, i w powszechnym zaniku praworządności staczali się wszyscy w bezdeń intryg, kłamstw, wiarołomstwa, nieraz zbrodni.

Właśnie zaś w początkach ostatniego dziesięciolecia XV w. schodzili z widowni długoletni aktorowie wielkiego dramatu dziejowego we Włoszech, a miejsce ich zajmowało

pokolenie gorsze, prawdziwa *progenies vitiosior*. We Florencji ze śmiercią Wawrzyńca Medyceusza gaśnie nietylko wspaniałe ognisko cywilizacyjne, którego światło rozchodziło się daleko poza granice Toskanji i Włoch, ale zanika tradycja nieprzebierającej z pewnością w środkach, zawsze przecież zręcznej i utrzymującej jaką taką równowagę na półwyspie appenińskim polityki, którą snuły cztery już pokolenia Medyceuszów. Na jego miejscu stawał teraz Piotr Medyceusz; po ojcu wziął był on tylko świetność zewnętrzną, zamiłowanie do sztuki i skłonność do zbytku i uciech, ale nic z jego zdolności męża stanu, tak, że stronnicy Medyceuszów poczęli się odrazu troskać, czy z niewprawnych rąk nie wysunie się tem trudniejsza do dzierżenia władza, że nie oparta na żadnym tytule prawnym, nieokreślona i bezimienna. — W Neapolu, po starym królu Ferrante, przewrotnym, ale zręcznym i doświadczonym polityku, który przez pół wieku bronił i obronił koronę przeciw warującym sobie prawo jej nadawania papieżom, przeciw wznawianym wciąż pretensjom panujących przedtem w Neapolu Andegaweńczyków i przeciw buntom własnych a prześladowanych lenników, wstępował na tron syn jego, Alfons II. Ale władza jego podkopana była w zarodku nienawiścią poddanych, którzy w nim znali główne narzędzie srogich rządów ojca; i on sam zresztą zażywał sławy »najokrutniejszego, najzłośliwszego, najbardziej zepsutego i najpodlejszego z ludzi«, jak mówi Philippe de Commynes.[1] — W Medjolanie, otoczony wspaniałym dworem uczonych, poetów i artystów, wśród których prym trzymał Leonardo da Vinci, rządził faktycznie już od lat kilku drugi syn wielkiego kondotiera Francesca Sforzy, Lodovico Moro. I on nie był prawym księciem Medjolanu, lecz sprawował rządy jako opiekun swego bratanka, a ojca późniejszej polskiej królowej Bony, chorego i nieszczęśliwego Giangaleazza. Opieka ta polegała na istotnem panowaniu opie-

[1] *Memoires de Philippe de Commynes*. T. II, ks. VII, roz dz.13.

kuna, a trzymaniu pupila na uboczu prawie więziennem. Wyzbyty w polityce wszelkich skrupułów, poświęcający z lekkiem sercem wszystkich i wszystko, co stawało na drodze niezmiernej jego ambicji, posiadał Moro niepospolite zdolności rządzenia: w Lombardji utrzymywał ład, a poza jej granicami zdołał sobie wyrobić taki wpływ i wziętość, że sam się lubił chełpić, iż w papieżu Aleksandrze ma swego kapelana, w cesarzu Maksie kondotiera, w Rzeczypospolitej św. Marka podkomorzego, a w królu francuskim kurjera, który na jego skinienie zjawia się i odchodzi. Nie było w nim śladu rycerskości i awanturniczej fantazji ojca. Podobniejszy pod tym względem do Viscontich, których krew miał w żyłach po matce, był on zimny, wyrachowany i przezorny. Tej ostatniej właściwości zawdzięczał nawet przydomek *il Moro*, od drzewa morwowego, które na wiosnę najdłużej zwleka, aby świeży liść puścić, i dlatego uchodzi za przezorności symbol.[1]

W Rzymie wreszcie, po zgonie słabego Innocentego VIII, wstąpił na Stolicę apostolską Aleksander VI Borgia. Niechętnie przychodzi otwierać ten rozdział z dziejów kościelnych. Wolałoby się raczej, wedle słów jednego z wielkich pisarzy katolickich XIX w.,[2] rzucić na ten obraz zasłonę, podobną do owego płaszcza, którym synowie Noego okryli litośnie nagość winem zmorzonego ojca. Ale przeglądając annale kościelne z owego końca XV stulecia, kiedy wśród powszechnego, a już szczególnie we Włoszech tak jaskrawie bijącego w oczy zaniku wszelkiej etyki zeświecczenie hierarchji doszło do szczytu, nie dziwi się człowiek tyle, że i w Kościele mogli się znaleźć ludzie tak wyzbyci moralności i przewrotni, lecz zdumiewa się raczej i podziwia, jak silną musiała być opoka, na której stał, jeżeli i takich ludzi zdołał przetrwać. Aleksander VI, zdolny,

[1] Tak tłumaczy przydomek Lodowika Sforzy słynny historyk florencki z XVI w. Benedetto Varchi (*Storie Fiorentine*. T. I, c. 55).

[2] Fryderyk Ozanam.

świetny, piękny i ujmujący w obejściu, a biegły polityk i dyplomata, słowem człowiek wedle serca i na modłę ludzi z epoki Odrodzenia; Cesare Borgia, wojownik i mąż stanu o wielkich, śmiałych koncepcjach politycznych i żelaznej w ich przeprowadzaniu wytrwałości, — na innym tronie włoskim, wśród społeczności, dla której każdy środek był godziwy, a miarą wszystkiego powodzenie, nie stanowiliby wyjątku, a niejednym mogliby byli zabłysnąć rysem. Na tronie i na stopniach tronu papieskiego, malują się ich postaci czarno, czasem demonicznie.

Dla Dżema, który przechodził niejako w spuściźnie po Innocentym VIII na Aleksandra VI, rozpoczynały się czasy większej względnie wolności. Straż pod liberalnym papieżem musiała być lżejsza, kiedy mistrz ceremonji, Burchard, wspomina w swoim diarjuszu o konnych wycieczkach Dżema po Rzymie w towarzystwie młodych Borgiów, a raz nawet opisuje tak charakterystyczną dla owych czasów kawalkatę księcia z samym Aleksandrem VI: poprzedzony krzyżem, a ze świtą, złożoną z kilku kardynałów, jechał papież konno z Watykanu do św. Jana Lateraneńskiego, aby się przyjrzeć wykonywanym tam na jego rozkaz robotom budowniczym w bazylice, a tuż przed nim jechali obok siebie Dżem i przebrany także za Turka Juan de Borgia, książę Gandji; przed Lateranem zsiedli książęta z koni i poszli do wnętrza świątyni oglądać grobowiec Marcina V; zaczem pochód znów się uformował i ruszono do Santa Maria Maggiore. — Ale i za nowego pontyfikatu nie przestawał być Dżem przedmiotem żywego zajęcia dworów europejskich: pod wrażeniem nowego naporu Turków na Węgry dopominał się o wydanie mu go, gotujący się na wyprawę turecką cesarz Maksymiljan, a jeszcze więcej liczył na niego król francuski, Karol VIII, który poczynał właśnie snuć dalekonośne swoje plany.

Młody ten monarcha wysuwał się teraz na pierwsze, decydujące miejsce w Europie. Czy zdolnościami dorastał zamia-

rom, to rzecz inna. W dziecięcych latach wziął on spuściznę po ojcu, Ludwiku XI, który w ciągu dwudziestokilkoletniego panowania bezwzględną, ale mądrą polityką wygoił rany zadane Francji w całowiecznej wojnie z Anglją, rozszerzył jej granice czterema bogatemi prowincjami, a łamiąc bądź orężem, bądź mieczem kata potęgę wasalów koronnych, rzucił podwaliny pod nowoczesną, absolutną monarchję. Syn w niczem nie przypominał ojca. Autorowie współcześni rozwodzą się szeroko nad nikłą jego i brzydką powierzchownością. Niskiego wzrostu, z dużą głową, osadzoną na wątłem ciele, i cienkich nogach, z blademi oczyma o krótkim wzroku, dużym orlim nosem i z otwartemi zawsze ustami o wydętych wargach, nosił on fizycznie na sobie piętno wyczerpanej rasy, będąc istotnie ostatnim potomkiem starszej gałęzi rodu Walezjuszów. Ale pod tą nikczemną powłoką krył się duch rycerski i za temi jakoby w dal zapatrzonemi oczyma roiło się w głowie od starych rycerskich podań o Karolu Wielkim i jego paladynach i snuły się dalekonośne zamiary fantastycznych wypraw, zwycięstw i zdobyczy. Wygórowane ambicje króla podsycały pochlebstwa marnego otoczenia, bo, jak mówi Filip de Commynes, »był on bardzo młody, pełen swojej woli, a bez doświadczonych ludzi wokoło siebie«; jednał zaś łatwo wszystkich dla swoich celów, gdyż »najsłodsza mowa, najbardziej ludzka, była mu właściwą«, i »chociaż tak nikłego ciała i małego rozumu, był tak dobry, że nie było na świecie lepszego odeń stworzenia«[1].

Młodociane porywy łatwego do podniecenia króla postanowił chytry Lodovico Moro na swoją wyzyskać korzyść. Nie bał się on swego skrzywdzonego bratanka Giangaleazza, gdyż

---

[1] *...le Roy était très jeune, plain de son vouloir, peu acompaigné de saiges gens... et davantaige la plus humayne et doulce parolle d'homme que fut jamais estait la sienne... Car si petit homme de corps ne fut jamais que ledit Roy et poy entendu, mais si bon, qu'il n'est possible de veoir meilleure créature. (Mém. de Commynes,* Ks. VII, r. 1, ks. VIII, r. 20 i 27).

KAROL VIII.

Według minjatury z oprawy modlitewnika z XV w., w Bibliotèque Nationale w Paryżu.

ten był zbyt słaby i bierny, żeby się skutecznie uzurpacji stryja oprzeć i o własne prawa dopomnieć. Ale obok młodego Sforzy stała jego małżonka, Izabella Aragońska, której dumna krew burzyła się przeciw upokorzeniu i krzywdzie. W imieniu własnem, męża i dzieci — wśród których rosła w rodzinnej niedoli, a w atmosferze ciążącego nad młodą jej głową bezprawia i snutych wokoło niej intryg i nasza późniejsza królowa, kilkoletnia naówczas Bona — zwracała się Izabella o pomoc i ratunek na dwór neapolitański. Już dziad jej, stary Ferrante, potem ojciec, król Alfons II, upominali się w Medjolanie o jej krzywdę i bronili jej praw. Toteż Lodovico Moro jasno sobie zdawał sprawę, że póki za nią i jej dziećmi stać będą neapolitańscy Aragonowie, nigdy on prawym i bezpiecznym panem w Medjolanie nie będzie. Dlatego postanowił ich zgnieść, a gotowe narzędzie nastręczała mu zrywająca się do czynów ambicja młodego króla Francji.

Królowie francuscy popierali zawsze prawa do korony neapolitańskiej krewnych swoich andegaweńskich przeciw Aragonom, a prawa te przeszły na nich samych, odkąd ostatni andegaweński pretendent przelał je w r. 1481 na Ludwika XI. W tę stronę, do syna Ludwika XI, do Karola VIII, zwrócił się teraz Moro. Radził mu skorzystać z niezgody dzielącej dwory włoskie, a bardziej jeszcze z buntu uciskanych baronów neapolitańskich, aby przybyć do Włoch po należącą mu się neapolitańską koronę; obiecywał, że sam otworzy mu drogę przez równiny lombardzkie i w triumfie powiedzie na koronację do Neapolu; pytał wreszcie, gdzie się król — z takiem oparciem na morzu Śródziemnem, jak Neapol — zatrzyma i kto mu się oprzeć zdoła. A na dalszym planie ukazywał zręczny kusiciel żądnemu sławy młodzieńcowi drogę na Wschód, pogrom Turków, zdobycie Konstantynopola, potem Ziemi Świętej, wreszcie, w oddali, błyszczącą wschodnią koronę cesarską. I tak za samolubnemi podszeptami chytrego włoskiego dynasty budziła się, tym razem na dworze francuskim, stara myśl

krucjaty, którą królowie francuscy zawsze, choćby teoretycznie, za swoje uważali posłannictwo.

We Włoszech zapowiedzianej wyprawy Karola VIII na Neapol wedle rozbieżnych interesów z podzielonemi oczekiwano uczuciami. Od połowy XIII w., od upadku Hohenstaufów, zacierała się tradycja gibellińska, a niemoc cesarstwa pod słabem, półwiekowem panowaniem Fryderyka III wypleniła ją w XV w. doszczętnie. Zato żyła jeszcze tradycja Gwelfów, szukająca zawsze chętnie oparcia o Francję. Wielu upatrywało więc w Karolu VIII oswobodziciela i mściciela. Ale miarą przewrotności wszystkich ówczesnych polityków włoskich jest to przedewszystkiem, że jeżeli jedni śmieli z lekkiem sercem sprowadzać obcą przemoc na Włochy i otwierać drogę najazdom, to inni nie wahali się zwracać o pomoc do wspólnego wroga całego Zachodu, do Turka: kiedy Lodovico Moro naglił Karola VIII do przekroczenia Alp, Alfons II żebrał posiłków na dworze w Konstantynopolu, a Aleksander VI przestrzegał Bajazeta, że król francuski wydrze mu z rąk Dżema, i prosił, aby sułtan skłonił Wenecję do połączenia się z Rzymem, Neapolem i Florencją przeciw Francji.[1]

Tymczasem w połowie sierpnia 1494 r. przebył Karol VIII Alpy i stanął na równinach lombardzkich. Myśl, z którą tyle umysłów włoskich igrało dotąd swawolnie, zamieniona w czyn, wywołała wszędzie osłupienie i przestrach. Bo inna to już była wyprawa od owych ostatnich »Römerzugów« cesarzy niemieckich, którzy po upadku Hohenstaufów pojawiali się jeszcze po tej stronie Alp i szli przez ziemie włoskie na koronację do Rzymu, ale ciągnęli zwykle prawie bez wojska i bezbronni, działając tylko na wyobraźnię czczą pompą, z jaką rozkładali swoje kramy podróżne, sprzedając Włochom za brzęczącą monetę puste tytuły i przywileje. Teraz przybywał król młody i ambitny, a za nim ciągnęło liczne wojsko, złożone coprawda

[1] Pastor, *Geschichte der Päpste*, t. III, ks. 2, rozdz. 2.

»z urwiszów, z których wielu nosiło na ramieniu wypalone przez kata piętno lilji«,[1] ale dzielnych i bitnych żołnierzy, którzy odrazu dowiedli Włochom, że skończyły się czasy bezkrwawych walk, do jakich je przyzwyczaili używani dotąd w wewnętrznych sporach włoskich, oszczędzający się zwykle wzajemnie obcy najemnicy. W pełni zaś brzmiało wszędzie echo potężnego głosu Savonaroli, tego grabarza Odrodzenia, który na krótko przedtem, bo w poście tegoż roku 1494, bił pod sklepienia florenckiego tumu, wzywając w płomiennych zaklęciach do pokuty wobec zbliżającej się pomsty niebios za zeświecczenie i upadek Kościoła, za zdrady panujących i fałsze rządów, za rozluźnienie obyczajów i znieprawienie dusz. Ponure nawoływania przeleciały wówczas jak grzmot przez całe Włochy i teraz w nadchodzącym królu Francji poznawali wszyscy zapowiadanego mściciela, a w jego orężu ów miecz Boży — *gladius Domini per terram cito et velociter*, — którym groził prorok. A żeby tem bardziej działać na wyobraźnię ludu, może i dla dumnego stwierdzenia dalekonośnych swych zamierzeń, z woli króla na sztandarze, niesionym przed nim, obok lilij francuskich widniał napis: *Missus a Deo* i *Voluntas Dei*.

Właśnie atoli strach i poczucie bezsilności wobec potężnego najeźdźcy sprawiły, że zbrojny jego pochód zamienił się w pochód triumfalny. Już u stóp Alp witał go Lodovico Moro, książę Herkules Este z Ferrary, rejentki Sabaudji i Monferratu. Aby sobie wszystkiemi sposobami jednać łaski młodego monarchy, którego słabości znał nawylot, przywiódł Moro na uroczystości powitalne całe grono pań medjolańskich, »których piękność bardziej była wypróbowana niż cnota«. Wśród tych uroczystości odebrał król wiadomość o walnem zwycięstwie, jakie kuzyn jego, dowodzący flotą francuską książę

[1] *...de méchants garnements, échappés de la justice et surtout force marqués de fleur de lys sur l'épaule* (Brantôme, *Mémoires*. Leyda 1666. Tom IV, dysk. 2).

Orleański, odniósł nad okrętami neapolitańskiemi. W ten sposób i morska droga na południe była otwarta. Król atoli szedł dalej drogą lądową. W Pawii upadła mu do nóg żona Giangaleazza, wstawiając się za ojcem, Alfonsem II., przeciwko któremu skierowana była wyprawa francuska; skargi na własne losy wytaczać przecież nie mogła, bo przezorny Moro na krok nie odstępował króla i obecny był posłuchaniu. Zresztą nieszczęśliwy ojciec naszej Bony kończył już mizerny swój żywot. Na dalszym postoju wojsk francuskich, w Piacenzy, doszła Karola VIII wieść o jego zgonie. Natychmiast podążył Lodovico Moro do Medjolanu, i ulegając pozornie zamówionym u stronników prośbom, zajął książęce krzesło medjolańskie. Ale zaraz też poczęto szeptać, jak zwykle w owym czasie, że Giangaleazzo nie umarł naturalną śmiercią, a jako sprawcę wymieniano tego, który z tej śmierci skorzystał. Wieść ta rozeszła się w obozie francuskim i poczęła wśród starszyzny budzić niepokój o przyszłość wyprawy, kiedy zapuszczając się w głąb kraju, zostawiano na tyłach armji sprzymierzeńca, posądzonego o zbrodnię.

Wrogowie Francji spodziewali się jeszcze, że druga po Alpach naturalna barjera, że Appeniny zagrodzą najeźdźcom drogę. Liczono na to, że florenckie wojska zamkną Francuzom przesmyki górskie. Jak grom więc padła na południowe Włochy wieść, że Karol VIII, nie dobywając miecza z pochwy, przekroczył z wojskiem pasmo Appeninów i wzdłuż rzeki Magry zeszedł w dolinę Arna. Przestrach wzmógł się jeszcze, gdy się dowiedziano, że Piotr Medyceusz stracił głowę, i niepomny zawartego z Rzymem i Neapolem przymierza, pośpieszył na spotkanie króla i wydał mu na własną rękę twierdze toskańskie, Sarzanę, Pietra Santa, Pizę i Livorno. Florencja odpowiedziała wyrokiem banicji na Medyceuszów, ale Karol VIII wkroczył do niej z mieczem w ręku, jako zdobywca, i zamieszkał w pałacu Medyceuszów, gdzie żołnierstwo rzuciło się chciwie na nagromadzone przez Wawrzyńca Wspaniałego zbiory

i skarby. Jako gościa przyjmował lud florencki obcego monarchę, wznosząc powitalne okrzyki na jego cześć i na cześć Francji. Lecz kiedy król oświadczył, że wkroczywszy do Florencji z mieczem, uważa się za jej pana, przyszło otrzeźwienie i opór. Rozpoczęły się układy, a gdy pełnomocnicy króla zbyt twarde stawili warunki, dzielny sekretarz Rzeczypospolitej, Pietro Capponi, wyrwał czytającemu je oratorowi królewskiemu pismo z ręki, wołając, że »jeżeli Francuzi zadmą w bojowe surmy, to Florencja uderzy we dzwony na alarm i obronę«. Śmiały głos Capponiego — *la voce d'un Cappon fra cento Galli*, jak mówi w zręcznej grze słów Machiavelli,[1] — zbawił wolność Florencji. Karol VIII, któremu śpieszyło się do celu wyprawy, zadowolił się czczym tytułem opiekuna Rzeczypospolitej oraz pieniężnym zasiłkiem na wyprawę neapolitańską i opuścił stolicę Toskanji.

Ale z Florencji, z przedednia wymarszu, datowany był szumny manifest, w którym zwracał się do całego chrześcijaństwa, wskazując na ostateczny cel wyprawy. Jeszcze z podnóża Alp wysłał był posła na wyspę Rodus z listem do Piotra d'Aubusson, w którym go wzywał, jako »człowieka doświadczonego i obeznanego ze sprawą turecką«, aby na Boże Narodzenie spotkał się z nim w Rzymie i tam wspólnie naradził nad świętą wojną z półksiężycem. W orędziu florenckiem zaświadczał zaś sobie, że nie na zdobycze, ale wzorem przodków dla złamania potęgi tureckiej i oswobodzenia miejsc świętych ruszał na dalekie boje: na podstawę takiego przedsięwzięcia potrzebne mu było królestwo Neapolitańskie, które zresztą i z prawa mu się należało; od papieża nie żądał niczego, prócz zezwolenia na przemarsz przez Państwo Kościelne; w razie odmowy, gotów był użyć siły, ale zgóry już protestował i zrzucał z siebie odpowiedzialność za niepożądane,

---

[1] Machiavelli, *Decenale primo*, w VIII-ym tomie *Opere*. Ed. Milano 1805.

wynikłe stąd skutki, i również gotów był wznowić ten protest »przed całym Kościołem« i wobec książąt chrześcijańskich, których niebawem na wspólną wyprawę przeciw Turkom wezwać postanowił.

Tak więc myśl krucjaty zajmowała go ciągle, — a świat chrześcijański milczał, zapatrzony w posuwające się zwolna na południe wojska francuskie, w oczekiwaniu, dokąd na tej drodze nie zajdą i po co nie sięgną. Przygodni poeci piali zaś hymny pochwalne na cześć zwycięzcy, i wtórując jego myśli, wróżyli mu wielkie, dalekie podboje, a jeden z nich śpiewał:[1]

Il fera de si grandes batailles
Qu'il subjugera les Ytailles.
Ce fait, d'ilec il s'en ira
Et passera delà la mer.
Entrera puis dedans la Grèce,
Où par sa vaillante prouesse
Sera nommé le roi des Grecs;
En Jerusalem entrera,
Et mont Olivet montera ..

Z śmiertelną trwogą w sercu patrzał na zbliżanie się wojsk francuskich Aleksander VI. Związany nietylko tożsamością rasy, ale i związkami krwi z domem neapolitańskich Aragonów, oceniający zresztą bystrym rozumem należycie niebezpieczeństwo, grożące całym Włochom w razie zawładnięcia Neapolem przez królów Francji, czuł on się w pierwszym rzędzie wystawiony na gniew i zemstę Karola VIII. A o obronie marzyć mu nie było wolno, gdyż i w samem Państwie Kościelnem panował nieład i wrzenie. Rwały się bowiem jedne po drugich tradycyjne nici, snute przez długi ciąg średniowiecza, a każda zmiana przysparzała papieżowi nowych trudności. I tak, stojący dotąd wiernie pod znakiem Gibellinów

[1] *La prophetie du roi Charles VIII de ce nom, par maitre Guilloche de Bordeaux.* Cyt. w Roscoe, *Leben u. Regierung des Papstes Leo X.* Übers. von Glaser. 3 Bde, Wien 1818.

potężny ród Colonnów, ulegając podszeptom kardynała Ascania Sforzy, młodszego brata i wiernego ajenta Lodovica Moro, przerzucił się właśnie w owej krytycznej chwili na stronę Francji. Ostrze skierowane było w pierwszej linji przeciwko papieżowi, który przestawał być panem najbliższych okolic Rzymu, bo zasianej zamkami Colonnów Kampanji. A na domiar złego, zajęcie przez nich Ostji i wywieszenie na twierdzy tamtejszej sztandarów francuskich zamykało ujścia Tybru i odcinało Rzym od morza. Równocześnie zastępowali Colonnowie wojskom neapolitańskim drogę na północ, a odsłaniali Rzym wobec Francuzów. Aleksander VI tracił głowę i coraz to nowych próbował środków, aby się z tej matni wydostać: to szukał poparcia u wiernych mu Orsinich i za ich pomocą chciał bronić do upadłego Karolowi VIII przystępu do Rzymu; to apelował do rządu weneckiego i prosił o użyczenie mu schroniska w Wenecji, która się bynajmniej nie kwapiła na przyjęcie tak niewygodnego gościa; to wreszcie zwracał się wprost do Karola VIII, próbując układów. Pierwszego wysłańca, kardynała Piccolomini, jako zbyt jawnego stronnika Aragonów, król nie przyjął wcale; drugi legat, czcigodny kardynał Raimund Péraud, od lat wielu żarliwy apostoł wojny krzyżowej, olśniony widokiem krucjaty, jaki Karol VIII przed nim roztoczył, przeszedł na jego stronę; trzeci wreszcie, kardynał Sanseverino, otrzymał nie uspakajającą bynajmniej dla Aleksandra VI odpowiedź, że król ślubował odwiedzić na Boże Narodzenie święte groby apostolskie w Rzymie i że wówczas w osobistem spotkaniu z papieżem wszystkie bieżące sprawy z nim roztrząśnie.

Ale główną przyczyną niepokoju, trawiącego Borgię, była obecność w obozie francuskim i przy boku królewskim najbardziej zawziętego z wszystkich jego wrogów, Giuliana della Rovere. Ten za dwóch już poprzednich pontyfikatów potężną swą indywidualnością wysoko ponad innych wystrzelający członek kolegjum kardynalskiego, jeszcze w czasie *conclave*

po śmierci Innocentego VIII z bezwzględną energją zwalczał kandydaturę Borgii i należał do tych niewielu[1] kardynałów, którzy oparli się niegodziwym środkom, jakiemi przyszły Aleksander VI jednał sobie głosy wyborców. Wkrótce po nowej elekcji, nie godząc się z nowym porządkiem rzeczy w Rzymie, a może i nie czując dość pewnym w pobliżu mściwych Borgiów, cofnął się kardynał Giuliano do warownej, zbudowanej mu przez Sangalla ostyjskiej twierdzy, a kiedy Karol VIII gotował się na wyprawę do Włoch, uszedł potajemnie z Ostji i przez Genuę i Avignon podążył na spotkanie króla do Lyonu. Aleksander VI truchlał na myśl, że Rovere zaostrzy przeciwieństwa polityczne sprawą kościelną i nakłaniać będzie Karola VIII do zwołania soboru i podjęcia reformy Kościoła. Już w słowach orędzia królewskiego z Florencji kryła się jakby groźna zapowiedź możliwej apelacji przeciw papieżowi przed inny trybunał. A wobec takiego świadka ze sromotnego ostatniego *conclave*, jak kardynał Giuliano, stawało przed zalęknionym Aleksandrem VI widmo soboru i złożenia go z urzędu.

Miotanie się papieża wśród nadziei naprzemian i zwątpień i wynikające stąd ciągłe wahania paraliżowały niepomyślnie ruchy sprzymierzonych z nim sił neapolitańskich. Zawsze bowiem niepewny oparcia o Rzym, zamiast stać, jak było umówionem, na północnej granicy Państwa Kościelnego i zagradzać Francuzom drogę wiodącą z doliny Arna w stronę Rzymu, cofnął się nagle następca tronu neapolitańskiego, książę Kalabrji, na południe. Z tą chwilą rozstrzygnięty był los Rzymu bo od Sieny, szlakiem, którym ciągnęły tylokrotnie w wiekach średnich *Römerzugi* Ottonów, Henryków i Fryderyków, wkroczyło teraz wojsko francuskie w granice Patrimonium i zajęło Viterbo. Rozzuchwaliło to jeszcze bardziej sprzymie-

[1] Do tej liczebnie szczupłej opozycji — 5 na 23 — należeli trzej późniejsi papieże: Francesco Piccolomini — Pius III, Giuliano della Rovere — Juljusz II, i Giovanni de' Medici — Leon X.

rzonych z Francją Colonnów, którzy z zamków swych okolicznych i z zajętej Ostji, od lądu i od morza poczęli blokować Rzym i odcinać dowóz żywności do miasta. W tej ostateczności zażądał papież znowu układów. Przybyli do Rzymu: głowa rodu Colonnów, Prospero, i kardynał Ascanio Sforza, niegdyś stronnik Borgii i główne przy wyniesieniu go na Stolicę Apostolską narzędzie, teraz poplecznik trzymającego w ręku wszystkie nici polityki włoskiej brata, Lodowica Moro. I już po kilkudniowych układach gotowali się Colonna i Sforza w drogę do Viterbo dla pośredniczenia w ostatniej chwili, kiedy nowa zmiana frontu papieża pokrzyżowała im szyki. Właśnie bowiem po wycofaniu się z Romanji wkraczał książę Kalabrji do Rzymu, a skłonny do złudzeń Aleksander VI na tem teraz nowe począł budować nadzieje, i przerwawszy układy, zamknął niedoszłych pośredników w Zamku św. Anioła.

Załoga neapolitańska poczęła przygotowywać obronę Rzymu: sypano wały, kopano fosy i zalepiano naprędce szczerby w starych murach miejskich. Ale pokazało się odrazu, że słabe siły, któremi rozporządzał książę Kalabrji, nie zdołają oprzeć się wojskom francuskim, gdyby przyszło do oblężenia i zdobywania siłą Wiecznego Miasta. A wojska te posuwały się coraz bliżej w stronę Rzymu. Z kolei trwożyły papieża wieści, że Nepi, Corneto, Civita Vecchia są już w ręku Francuzów, że grasujące po Kampanji luźne bandy Colonnów połączyły się z wojskiem francuskiem i że załoga francuska zajęła Ostję. Wreszcie, w połowie grudnia, otrzymał on wieść najgorszą, że opuścili go wierni mu dotąd Orsiniowie, i że ich głowa, Virginio, wydał Karolowi VIII ostatnią twierdzę, jaka zasłaniała jeszcze Rzym od północy, potężny swój zamek rodzinny w Bracciano. Stamtąd droga na Rzym była otwarta, i już w kilka dni potem dostrzeżono z okien Watykanu pierwszych jeźdźców francuskich, którzy — jak zapisuje Burchard pod dniem 19 grudnia w swoim diarjuszu, — ukazali się na stokach Monte Mario i podjeżdżali aż na łąki, okalające Zatybrze.

W Watykanie wszystko było przygotowane do ucieczki. Cenniejsze sprzęty i kosztowności ukryto w Zamku św. Anioła, a papież przeniósł tam również, jako w bezpieczniejsze, warowne miejsce, najdroższy swój skarb, czyli Dżema. Tylko na ucieczkę w stronę północy było zapóźno, bo stamtąd nadciągali Francuzi, a gdy książę Kalabrji nalegał na papieża, aby szukał schronienia w Neapolu, Aleksander VI, odpowiedział, że zmierzający właśnie w tę stronę król francuski i tam go ścigać będzie i doścignie. Ale zresztą na dalsze wahania nie było już czasu, bo w Rzymie wskutek głodu wzrastał ferment i Rzymianie grozili, że jeżeli papież do kilku dni nie pogodzi się z Karolem VIII, to sami zawołają Francuzów i otworzą im bramy miasta. W nocy drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia przybyło poselstwo królewskie, które prowadził marszałek de Gié, i zgłosiło się w Watykanie. Posłowie żądali przedewszystkiem, aby im natychmiast wydano Dżema. Papież odpowiedział wymijająco, że wyda go, ale dopiero w chwili rozpoczęcia krucjaty. Ale na wolne wejście Karola VIII z wojskiem do Rzymu, choć z trwogą w sercu, przystać musiał. Następnie, upewniwszy się jeszcze o czujności stróżów pilnujących Dżema, zamknął się sam z przyboczną swą strażą hiszpańską w Watykanie.

W wigilję Nowego Roku, w dniu naznaczonym przez astrologów, nadciągnął król na czele wojska wzdłuż starożytnej Via Flaminia i zatrzymał się wśród winnic, położonych za Ponte Molle nad Tybrem. Równocześnie, po drugiej stronie Rzymu, przez Porta San Sebastiano i Via Appia, uchodziła pod wodzą księcia Kalabrji załoga neapolitańska na południe. Wejście wojsk francuskich rozpoczęło się o trzeciej godzinie, a trwało do późnej nocy. Przy Porta del Popolo wręczono królowi klucze wszystkich bram miejskich. Po obu stronach Via Lata, dzisiejszego Corso, którędy wkraczały wojska, rozpalono w zapadającym wcześnie zmierzchu ogniska, tak, że Rzymianie przyjrzeć się mogli dowoli postępującym najpierw

rosłym piechurom szwajcarskim, których przednie rzędy okute były w pancerze, a uzbrojonym we włócznie lub halabardy, następnie zwinnym gaskońskim łucznikom, wreszcie konnicy, wśród której pod rozwianemi sztandarami, w jedwabnych płaszczach, strojnych pióropuszach na hełmach i ze złotemi naramiennikami spiętemi na piersi, jechało na wspaniałych koniach, ze świtą giermków i pachołków, najprzedniejsze rycerstwo francuskie. »Ale największy podziw i strach budziły maszyny na kołach, w liczbie trzydziestu sześciu, które konie z niesłychaną szybkością ciągnąć potrafią na złych czy dobrych drogach, armatami zwane, a które kule żelazne wielkości głowy ludzkiej z siebie sypią«.[1] Na ostatku, mając po prawicy wypuszczonego przez papieża z więzień Zamku św. Anioła w przeddzień wkroczenia Francuzów do Rzymu kardynała Ascania Sforzę, po lewicy kardynała Giuliana della Rovere, jechał otoczony przyboczną gwardją szkocką, z mieczem w ręku, sam król. W cieniach padających od rozpalonych ogni i gorejących pochodni olbrzymiały jeszcze przesuwające się szeregami postaci, a wśród tętentu koni i głuchego bicia bębnów słychać było okrzyki: »Francia«, »Colonna« i »Vincoli« — jak zwano od tytularnego kościoła San Pietro *in vinculis* kardynała della Rovere, — któremi lud rzymski witał z trwożnem przejęciem obcego monarchę i zbuntowanych świeckich i duchownych książąt rzymskich. Król ze świtą zajął przygotowany na ten cel dla niego pałac Wenecki, a reszta dowódców i dworzan stanęła kwaterą w pałacach sprzymierzonych z Francją Colonnów, Roverów i Sforzów.

W trawiącym niepokoju, nie opuszczając zrazu Watykanu, wyczekiwał Aleksander VI rozpoczęcia układów. Wokoło niego wrzało i huczało miasto. Bo choć w obawie rozprzężenia się

---

[1] Paolo Giovio, *Hist. sui temporis*. T. I, lib. I. Basileae 1575. Armaty już Włosi znali, ale w tej wyprawie Karola VIII poznali po raz pierwszy artylerję przenośną, czyli polną.

dyscypliny przed dalszą wyprawą starszyzna francuska utrzymywała jaki taki ład w szeregach, choć z woli króla, który przejął jurysdykcję w mieście, ustawiono na postrach w kilku miejscach szubienice, to jednak place miejskie, a nawet podcienia i krużganki kościołów rzymskich zaroiły się od hulającego wespół z miejskiemi szumowinami żołnierstwa, wszczynały się co chwila bójki, szerzył rabunek i mord. Na domiar złego Orsiniowie, obwarowawszy się w swych siedzibach na Monte Giordano, zapóźnionemi napadami niepokoili wojsko francuskie i narażali jeszcze więcej posądzanego o porozumienie z nimi papieża na zemstę Francuzów. Lecz groźniejszemi dla Aleksandra VI były obrady, które toczyły się za murami pałacu Weneckiego, w najbliższem otoczeniu królewskiem. Tam ścierały się bowiem dwa prądy. Stojący w opozycji przeciw papieżowi, z Giulianem della Rovere na czele, kardynałowie — *qui estaient à l'envy, qui serait pape*[1] — nalegali namiętnie na młodego monarchę, ażeby złożył nielegalnie obranego Borgię z urzędu i podjął reformę Kościoła. Gdyby ich głos przeważył, Aleksander VI był zgubiony. Ale sprzeciwiali się temu francuscy doradcy królewscy pod przewodem najbliższego powiernika króla, ubiegającego się już oddawna o kapelusz kardynalski Wilhelma Briçonnet, biskupa z Saint Malo. Ludzie ci liczyli na łaski i przywileje, które zamierzali na papieżu wymusić, a łatwiej je było wydrzeć przyciśniętemu do muru Aleksandrowi VI, niż wyżebrać u niewiadomego jego następcy, którym zostać mógł twardy i nieugięty Rovere. Na szczęście dla Aleksandra VI, nie był zresztą sam Karol VIII, jak mówi znów Commynes, człowiekiem »na miarę reformatora«. Brakło mu na to rozwagi i powagi, a lekkomyślność, skłonność do uciech, szczególnie zaś nader luźne obyczaje, były tak powszechnie znane, że, jak szydził Lodovico Moro, raczej od siebie samego należało mu rozpoczynać reformę.

[1] Philippe de Commynes, *Mémoires*, VII 15.

Do zdania dworzan, zalecających łagodniejsze postępowanie z papieżem, przyłączyli się wreszcie i sami przywódcy wojsk, których niepokoił zbyt długi postój w skąpo w żywność zaopatrzonym Rzymie oraz rosnące niebezpieczeństwo, że w opustoszałej Kampanji, prawie u celu, bo u granic neapolitańskich, załamie się ich neapolitańska wyprawa.

Przewaga tych wpływów na króla poczęła dodawać otuchy papieżowi, który hardziej też jął się stawiać wobec innych królewskich żądań. Wydania twierdzy św. Anioła wręcz odmówił i sam się w jej obronne mury krytym krużgankiem, prowadzącym z Watykanu, cofnął. Ociągał się również z wydaniem królowi Dżema. Ale zmiękł znowu, kiedy Francuzi po dwakroć wytoczyli pod Zamek działa. Tylko już teraz politycznemi ustępstwami próbował okupić własną nietykalność. Jakoż w połowie stycznia stanęło pomiędzy nim a królem przymierze: papież zobowiązywał się wydać Karolowi VIII na czas krucjaty pretendenta tureckiego i pozostawiał mu do rozporządzenia na cały przeciąg wyprawy twierdzę i port w Civita Vecchia; Francuzi otrzymywali ponadto prawo wolnego przemarszu na całej przestrzeni państwa papieskiego, zbuntowani zaś kardynałowie i baronowie rzymscy zupełną amnestję; wreszcie Cesare Borgia, naówczas jeszcze kardynał Walencji, miał być oddany królowi na zakładnika, pod pozorem towarzyszenia armji francuskiej w roli papieskiego legata. Król natomiast pozostawiał papieżowi Zamek św. Anioła i miał mu w chwili opuszczenia Rzymu oddać klucze bram miejskich, a przedtem złożyć obedjencję i przyobiecać, że nigdy ani w świeckich, ani w duchownych sprawach oponować Stolicy Apostolskiej nie będzie.

Nazajutrz po zawarciu traktatu powrócił Aleksander VI z Zamku św. Anioła do Watykanu. Czuł się już pewniejszym siebie, odkąd Francuzi zażegnali grożące mu w dziedzinie duchownej niebezpieczeństwo i odkąd sam uniknął zręcznie rozstrzygnięcia w politycznej, a drażliwej ponad inne sprawie

inwestytury neapolitańskiej, której się Karol VIII ustawicznie domagał, ale o której nie było w traktacie wzmianki. Na zaproszenie papieża przybył król w gościnę do pałacu watykańskiego. Spotkanie nastąpiło w watykańskich ogrodach, a cechowała je szczególna i wyszukana uprzejmość Aleksandra VI. Zanim, przyjętym zwyczajem, idący naprzeciw zbliżającego się papieża dostojny gość po raz trzeci uklęknąć zdążył, chwycił go tenże w ramiona i z odkrytą głową ucałował, poczem trzymając się za ręce weszli obaj do wnętrza pałacu. Tam, na prośbę króla, nastąpiło natychmiast wręczenie kapelusza kardynalskiego oczekującemu snadź niecierpliwie odznak nowej swojej godności faworytowi królewskiemu, Wilhelmowi Briçonnet, którego przybrano, jak notuje Burchard, w pożyczoną naprędce od Cezara Borgii purpurę. Po kilku dniach złożył Karol VIII papieżowi na publicznym konsystorzu obedjencję: »*Saint Père, je suis venu pour faire obédience et révérence à Votre Saincteté de la façon que ont faict mes Prédécesseurs, Roys de Françe*«, brzmiały słowa, które, stojąc po lewicy papieskiego tronu, wyrzekł król po francusku. Jeszcze skwapliwiej atoli słuchał z pewnością Aleksander VI następnej oracji łacińskiej prezydenta parlamentu paryskiego, Jana de Ganay, zawierającej doniosłe a pożądane dla niego stwierdzenie, że »król chrześcijański przybył do Rzymu pokłonić się temu, w którym uznaje Najwyższego Kapłana i następcę Apostołów«.

Szeregiem świeckich lub kościelnych uroczystości, wspólnym pochodem z bazyliki św. Piotra do bazyliki św. Pawła za murami, którym chciano *urbi et orbi* ujawnić zawartą pomiędzy Stolicą Apostolską a Francją przyjaźń i zgodę, wypełniał Aleksander VI czas i urozmaicał kilkodniowy jeszcze pobyt młodego króla w Rzymie, byle odwieść jego umysł od drażliwej sprawy inwestytury neapolitańskiej, co do której wymijającemi zbywał go tylko odpowiedziami. Ale schlebiał mu w ambitnych zamiarach, i po Rzymie osobliwe krążyły wieści,

że król przyjął z namowy papieża tytuł cesarza Wschodu, a te wieści rozchodziły się w relacjach posłów po dalekim świecie, i w Wenecji zaręczano nawet, że Karol VIII bić już kazał monety z napisem *Carolus Imperator*. Z natury rzeczy, wzrastały w takich warunkach dla króla znaczenie i wartość Dżema. Zawsze w towarzystwie papieża, odwiedził go więc oficjalnie w Zamku św. Anioła. Ale gdy, jak zawsze, dla pozorowania rzekomej wolności pretendenta, spytał go Aleksander VI, czy zgadza się na towarzyszenie królowi w dalszej wyprawie, milczący zazwyczaj Turek głośną wybuchnął podobno skargą i odrzekł, iż wszystko mu jedno, w czyich, jako nieszczęsny niewolnik, będzie rękach.

Jakoż pod koniec stycznia 1495 r. opuścił Karol VIII Rzym, uprowadzając ze sobą Dżema, którego po odbytej krucjacie obiecywał zwrócić papieżowi. Za królem jechał Cesare Borgia, jako legat, oraz kardynałowie della Rovere, Colonna, Savelli i Péraud, którzy, aczkolwiek pogodzeni napozór z papieżem, czuli się bezpieczniejsi pod bokiem króla, aniżeli w Rzymie, w pobliżu Borgiów. Aleksander VI odetchnął po rozstaniu się z nieproszonym gościem, chociaż poznawszy go bliżej mniej go się lękał i może sam dzielił o nim zdanie Lodovica Moro, który mawiał, szydząc z nikłej postaci Karola VIII, iż »go nie starczy choćby na połowę rozsądnego człowieka«. Z tem większem zato napięciem począł papież śledzić zaznaczającą się już zmianę usposobienia względem Francuzów, która w miarę ich pochodu na południe objawiała się coraz wyraźniej na północy. Bo pochód ten sam przez się był nadal triumfalny. Jeszcze w pobliżu Rzymu otrzymał Karol VIII wiadomość o zmianach zaszłych w Neapolu: Zdjęty nagłym, z obłędem graniczącym strachem, złożył nikczemny Alfons II na wieść o zbliżaniu się Francuzów koronę, zbiegł i ukrył się w ustronnym sycylijskim klasztorze. Naprożno usiłował syn jego, Ferrante II, czwarta z kolei na tronie neapolitańskim latorośl dynastji Aragonów, a który różnił się pra-

wością, uczciwością i odwagą osobistą dodatnio od ojca i dziada, skupić wokoło siebie siły królestwa i bronić swego dziedzictwa; uciskani od tylu lat przez Aragonów lennicy zerwali się teraz do buntu, zawrzało w całym kraju i z wszystkich twierdz i zamków, w Kampanji i w Abruzzach, powiały chorągwie francuskie na powitanie francuskich wojsk, które prawie bez dobycia miecza z pochwy przez Velletri, Ceprano, Kapuę zbliżały się do Neapolu. Mówiono o Francuzach, że na zdobycie królestwa idą tylko z kredą w ręku, którą znaczą po drodze rozdzielane pomiędzy siebie, a przez nikogo nie bronione kwatery.

W pięć miesięcy po opuszczeniu Francji wkraczał więc Karol VIII na czele wojska, a z odznakami imperatora — bo w płaszczu cesarskim i z berłem i globem w ręku — do ścielącego mu się u stóp Neapolu. Po sześćdziesięciu latach od śmierci młodszej królowej Joanny z rodu andegaweńskiego, wracał Neapol znów pod władzę księcia z krwi francuskiej, a tym razem, zdawało się, że pod trwałą, bo najsilniejszą, dzierżoną przez głowę najstarszej linji Walezjuszów, przez samego króla Francji. Tylko ten cudny kąt świata, ten ogród Italji, którego pożądały, o który przelewały krew w ciągu długich stuleci wszystkie prawie nacje starożytnego lub średniowiecznego świata, Rzymianie i Kartagińczycy, Normanowie i Niemcy, Francuzi i Hiszpanie, miewał czasem moc zaczarowanego kwiatu, który odurza i pozbawia sił, jak upoił i ubezwładnił Kartagińczyków, albo przemieniał się dla innych, jak dla Hohenstaufów, w cmentarz. Równie zdradziecko podziałał i na Karola VIII, aż z biegiem czasu, jak mówi jeden z nowoczesnych historyków francuskich,[1] »stał się dla tego naiwnego Hannibala drugą Kapuą«. Zamiast bowiem szukać oparcia na zasiedziałych w Neapolitańskiem stronnikach dynastji andegaweńskiej, którzy liczyli na nagrodę za dochowaną ko-

[1] Ernest Lavisse, *Histoire generale*. Paris 1894.

sztem tylu prześladowań ze strony Aragonów dawnym swym panom wierność, zamiast wiązać ze sobą tych ze sług i powinnych aragońskiego domu, którzy z lekkiem sercem go opuścili i przeszli pod znaki francuskie, zrażał on sobie jednych i drugich, dzieląc łaski tylko między swoich dworzan, nadając tylko im wszystkie naczelne miejsca, wszystkie urzędy i przywileje w nowem swojem królestwie. Prócz tego tak on, jak i jego otoczenie, upojone już powodzeniem, ulegało tem łatwiej zwodniczym czarom cudownego klimatu i rozkoszom uroczych okolic z miękkiem ich życiem i lekkiemi obyczajami, wśród których rozluźniała się wola i odprężał hart. Sam król przy boku pięknej Leonory de Marzano, która jako najbieglejsza w królestwie amazonka zdobyła sobie jego serce, rzucił się w wir zabaw i uciech, a towarzysze jego w wspaniałych turniejach i innych rycerskich igrzyskach zużywali po bezkrwawej prawie zdobyczy kraju niewyszczerbione w boju oręże.

Tymczasem zaszły dwa wypadki, które powinny były służyć za przestrogę i ocucić z odurzenia lekkomyślnego zdobywcę. Bezpieczeństwo Francuzów w Neapolu opierało się w pierwszym rzędzie na zawartych co dopiero z Aleksandrem VI paktach, a paktów tych poręczyciel, oddany królowi za zakładnika Cesare Borgia, już na postoju w Velletri, a więc zaledwie o kilkanaście mil od Rzymu, w nocy, w ubraniu pachołka ze stajni królewskich, wykradł się z obozu, umknął i skrył się w Rzymie w domu któregoś z urzędników kurji. Karol VIII zwrócił się natychmiast do Aleksandra VI ze skargą. Ale ten zbył go łatwą odpowiedzią, że sam biada na tem, co się stało, ale że syna, który przepadł bez wieści, odnaleźć nie może. Tak więc, wkraczając do Neapolu, zostawiał król poza sobą ludzi, którym nie wierzył, a nie posiadał już żadnej przeciwko ich złej wierze rękojmi.

Większej doniosłości cios dotknął króla wkrótce po przybyciu do Neapolu. W czasie pochodu na południe, zaraz po przekroczeniu granic neapolitańskich, zasłabł był nagle jadący

w jego świcie Dżem. Zostawiać go po drodze było zbyt niebezpiecznie, więc poza Kapuą niesiono chorego w lektyce, śladem postępującego naprzód króla i wojska. Ale stan pogarszał się z dniem każdym, i trzeciego dnia po przybyciu do Neapolu, a w trzynastym roku swej tułaczki, nie wyzyskawszy praw, które sobie roił dla siebie, nie wyzyskany jak należy dla sprawy chrześcijańskiej przez tylu zmieniających się z kolei przy nim dozorców i stróżów, zakończył nieszczęśliwy pretendent marny swój żywot. Z jego zgonem przepadała Karolowi VIII najważniejsza stawka w jego nieokreślonych nigdy jasno, ale nigdy nie zaniechanych zamiarach, czy marzeniach tylko, względem Wschodu. Toteż próbował zrazu utrzymać zgon księcia w tajemnicy: książęca gwardja pełniła napozór nadal przed drzwiami służbę, a medycy królewscy wchodzili, jak przedtem, do zajmowanych przez Dżema w dawnej rezydencji Hohenstaufów komnat. Ale wieść o śmierci Turka, którego osoba tak żywo zajmowała wyobraźnię Włochów, rozeszła się szybko po Neapolu, a przez gońców z poselstw zagranicznych i po reszcie Włoch. A kiedy doszła do Wenecji, wierny swej polityce względem sułtana rząd wenecki kazał natychmiast zamknąć port i nie wypuszczać okrętów, prócz najszybszej własnej łodzi, która miała pierwsza ponieść Bajazetowi radosną dla niego wieść o zgonie brata. Jak po niedawnej śmierci Giangaleazza, jak po tylu innych podówczas zresztą zgonach, szeptano znów tu i ówdzie o truciźnie, działającej powoli, a zadanej rzekomo Dżemowi na wyjezdnem z Rzymu z namowy sułtana przez Borgiów. Ale u współczesnych autorów niema o tem wzmianki, a legenda o truciźnie pojawia się dopiero u pisarzy następnego stulecia, oczerniających na wyścigi i tak już czarne rachunki Borgiów.

Zresztą niebywałe powodzenia Francuzów, pochód ich przez całe Włochy i tak łatwe zajęcie największego na półwyspie appenińskim królestwa, rozgaszczanie się zwycięzców na południu włoskiem, — wszystko to budziło w wysokim stopniu

czujność innych dworów. Król hiszpański Ferdynand nie patrzał obojętnie na upadek pokrewnych mu neapolitańskich Aragonów, a lękał się o przyszłość i o los własnej, a bliskiej Neapolu Sycylji. Bo i do niej mógł Karol VIII każdego czasu wznowić dawne pretensje andegaweńskie. Przysłanie w tej właśnie chwili na Sycylję zawsze zwycięskiego hiszpańskiego wodza, Gonzalwa z Kordowy, stanowiło dla Karola VIII wymowną pod tym względem przestrogę. — Cesarz Maks miał z młodym królem francuskim dawne już porachunki: wszakże dopiero przed kilku laty odesłał mu tenże narzeczoną jego córkę, aby poślubić bogatą dziedziczkę Annę Bretońską, która przedtem jemu właśnie, Maksymiljanowi, obiecała była rękę i wiano. Z pragnieniem odwetu za te dwukrotne upokorzenia łączyła się teraz, nie bez racji, chęć upomnienia się o wyblakłe wprawdzie i spłowiałe, ale żyjące przecież jeszcze w tradycji prawa niemieckich cesarzy do Włoch, które sobie Karol VIII przywłaszczać zdawał. — We Włoszech zaś niezadowoleni byli z nowego obrotu rzeczy przedewszystkiem przezorni Wenecjanie; trzymali się oni chętnie zdala od sporów państw włoskich, umieli sobie wśród nich radzić i pierwsze pomiędzy niemi zawsze warować miejsce. Toteż ze wzrastającym niepokojem spoglądali na rozwielmożniającą się teraz na ziemiach italskich obcą, na inną miarę zakrojoną potęgę. — Lodovico Moro wreszcie — *quel politicone di Lodovico il Moro*,[1] jak go zabawnie w Annalach swoich Muratori nazywa, — stał się odrazu duszą wszczynających się wszędzie przeciwko Francuzom knowań. Chociaż biciem we dzwony i iluminacją obchodził w Medjolanie wejście Francuzów do Neapolu, nie potrzebował Karola VIII, odkąd po śmierci bratanka rozsiadł się bezpiecznie w krześle książęcem medjolańskiem, i lekceważył go już sobie. Ale z natury i zamiłowania skory do

[1] *Politicone*, wzgardliwa przemiana słowa *politico;* nie »polityk«, ale »politykarz«.

intryg, tem chętniej łączył się z wrogami Francji, że książę Orleański, królewski brat stryjeczny, a późniejszy, jako Ludwik XII, następca Karola VIII, coraz głośniej przypominał swoje prawa po babce, Walentynie Visconti, do Lombardji. Rozumie się samo przez się, że i Aleksander VI z całą siłą duchownego swego autorytetu popierał powstawanie zwróconego przeciw Francji przymierza.

I wtedy, w onej epoce marnych epilogów krucjat, wyłania się epilog ich w wieku XV, w wieku zdobycia Konstantynopola ostatni, ale bodaj z wszystkich najbardziej dla swoich czasów znamienny. Po jednej stronie stoi Karol VIII, który wedle powziętych od początku neapolitańskiej wyprawy zamiarów zdobył Neapol, żeby mu służył za stopień do dalszych, wyższych przedsięwzięć, do wojny krzyżowej, do odebrania Turkom Konstantynopola i Ziemi Świętej; do końca tej myśli wierny, nawet w chwili, kiedy spisek grozi mu odcięciem odwrotu, posyła jeszcze emisarjuszów do Albanji i Grecji, aby siali ziarno buntu na podbitych przez Turków ziemiach, sprowadza do Neapolu cieśli, ażeby mu budowali na dalszą wyprawę okręty, i znosi się z wielkim mistrzem Zakonu św. Jana w sprawie przygotowań wojny. A po drugiej stronie wysłannicy Ferdynanda Katolickiego, cesarza Maksymiljana, papieża i księcia Medjolanu zbierają się w Wenecji, i tam, w największej tajemnicy, jak przy każdem poczęciu Wenecji, wśród nocnych zrazu schadzek, ażeby nie obudzić czujności posła francuskiego przy Rzeczypospolitej św. Marka, którym był naówczas znakomity historyk, Philippe de Commynes, spaja się przymierze przeciw Francji. Łączą się dla jednego celu Hiszpanja, Niemcy, Rzym, Medjolan i Wenecja, lecz dla ukrycia skierowanego przeciw Karolowi VIII ostrza, w wyniku obrad, do których dopuszczają niekiedy i tureckiego posła, na czoło paktu i jako pierwszy cel przymierza wysuwają sprzymierzeńcy znów wspólną obronę chrześcijan przeciw Turkom! Tak więc naprzeciw niedoszłym krzyżowcom, zagrożonym te-

raz w zdobytym Neapolu, staje na drugim krańcu Włoch, w Wenecji, liga, pokrywająca znowu inne zupełnie cele tem samem starem hasłem wojen krzyżowych.

Wobec tej na północy zrywającej się burzy, a na powtarzające się coraz energiczniej nalegania Filipa de Commynes, który donosił, co się gotuje w Wenecji, — rozdzieliwszy część wojska na załogi w większych miastach zdobytego królestwa, rozpoczął Karol VIII w końcu maja 1495 r. odwrót. Zwycięski w poprzednim roku pochód przez Włochy zajął był prawie całe półrocze; na przyśpieszony odwrót wystarczyły dwa miesiące. Nie było już uroczystych przyjęć, które przedtem tyle pochłaniały czasu. Pomimo pokojowych zapewnień króla, za zbliżaniem się armji francuskiej do Rzymu opuścił Aleksander VI śpiesznie stolicę, aby uniknąć ponownego z królem spotkania. W Perugii wolał przeczekać przemarsz Francuzów przez Rzym i państwo papieskie. Florencja, choć nie należąca do ligi, z obawy, aby Karol VIII nie oddał znów władzy Piotrowi Medyceuszowi, który się w jego znajdował świcie, zajęła nieprzyjazne wobec Francuzów stanowisko. Omijając więc stolicę toskańską, bliżej wybrzeża, przez Sienę, Pizę, Lukkę zdążał król ku Appeninom. Ale po ich przebyciu, na równinach, wiodących pod zbawcze, bo spadające po drugiej stronie już do francuskiego Delfinatu ściany Alp, zastąpiły Francuzom drogę wojska ligi. A choć przymierze zawarte w Wenecji miało na papierze obronny tylko charakter, intrygi Lodovica Moro znalazły łatwo pretekst zaczepki. Na polach pod Fornovo, nad brzegami spływającej tam ze wzgórzy liguryjskich rzeczki Taro, przyszło do starcia, a tylko nieporównana dzielność rycerzy francuskich i przykład samego króla który rzucał się nieustraszenie w sam środek walki, sprawiły, że liczebnie cztery razy silniejsze wojska ligi, pod wodzą margrabiego Gonzagi z Mantui, nie wytrzymały rozmachu szarży francuskiej. Król przedarł się przez nieprzyjacielskie szeregi i otwartym sobie i wojsku przez oręż szlakiem szedł dalej ku

Alpom, do Asti, skąd miał uciążliwą jeszcze do przebycia, ale wolną już drogę do Francji. Każda z walczących pod Fornovo stron sobie przypisywała zwycięstwo: z większem prawem Francuzi, bo zostawiali pole zasłane poległymi nieprzyjaciółmi i dopięli celu zdobyciem dalszej drogi na północ; ale Włosi w tem upatrywali wygraną, że Karol VIII tak śpiesznie uchodził z pod Fornovo i pędził naprzód, aby opuścić Włochy. Francesco Gonzaga w dziękczynnem *ex voto* uwiecznić nawet kazał to domniemane swoje zwycięstwo i na słynnym obrazie malowanym dla niego przez Mantegnę klęczy w pełnej zbroi u stóp »Najświętszej Panny Zwycięskiej« — *Madonna della Vittoria* — jak się ten obraz z paryskiego Louvru po dziś dzień według tradycji nazywa. W Wenecji zaś biciem we dzwony i salwami z moździerzy obchodzono zwycięstwo ligi, »co — jak pisze złośliwie jeden z niechętnych jej ówczesnych kronikarzy [1] — Wenecjanie czynić zwykli, ilekroć chcą zataić jaką złą nowinę, albo pokryć klęskę«.

Bez trwałych wyników kończyła się dla Francji ta na tak szeroką skalę założona wyprawa Karola VIII do Włoch. Królestwo neapolitańskie było wprawdzie podbite, ale władzy nowych jego panów, nieudolnie dzierżonej, niedostawało siły żywotnej i skazaną była na tem rychlejszą zagładę, iż brakło jej uprawomocnienia przez inwestyturę, której papież królowi odmawiał. A dalsze ambicje królewskie co do Wschodu, Konstantynopola i Ziemi Świętej nie wyszły poza mgły fantazji i marzeń. Ale we Włoszech zostawiali Francuzi za sobą gruzy. Powalony leżał tron Aragonów neapolitańskich, którzy go na nowo — i już tylko na krótko — zdobywać mieli. Zdeptaną była w Toskanji stuletnia prawie władza Medyceuszów, i Florencja, gdzie zawsze »rozprządł listopad, co uprządł październik«, jak jej to już przed dwoma wiekami grzmiąco wyrzucał Dante, staczała się w nowy okres zaburzeń i wstrząśnień. W Lom-

[1] *Diarium Ferrariense* (Muratori, *Rer. ital. script.*, t. XXIV).

bardji, spojonej przed pięćdziesięciu zaledwie laty trudem wielkiego Francesca Sforzy, przewrotna polityka Lodovica Moro, który pierwszy sprowadził obcych najeźdźców i wskazał im na pokolenia drogę, uwikłać go miała niebawem we własną matnię i strącić z książęcego krzesła medjolańskiego do więzień u tych samych Francuzów, których przyzywał na Włochy. A wśród tej burzy i na tych gruzach wstawała i rosła czarna postać Cezara Borgii, który w powszechnym zamęcie szeregiem zbrodni i gwałtów usiłował skroić sobie »Italję z jednego kawała«.

I tak dogorywał wiek XV wśród znieprawienia polityki włoskiej, którą tak silnie oddziaływała na resztę świata, a wiodła do wielkich katastrof początku następującego stulecia: do olbrzymich zmagań się Francji i Hiszpanji o ziemie włoskie z jednej strony, z drugiej do reformacji. Takich wstrząśnień potrzeba było, aby śpiąca jeszcze przez trzy ćwierci wieku myśl krucjaty pod zmartwychwstałą już powagą uzdrowionego Kościoła i wśród odradzającej się społeczności chrześcijańskiej zbudziła się wreszcie na nowo i zajaśniała w promieniach słońca, wschodzącego nad Lepanto.

W zmierzchu XV wieku nie było dla niej miejsca. Toteż kiedy w r. 1499 kilka okrętów neapolitańskich zawinęło do Konstantynopola, sułtan witał je, jak się wita przyjaciół. Bo nie była to flota Krzyżowców, tylko morski kondukt żałobny: po długich zabiegach Bajazeta, po układach, do których mieszały się Rzym i Neapol, Wenecja i dwór francuski, zwracała mu Europa zwłoki Dżema. Na rozkaz brata złożono je na ziemi azjatyckiej, w starych grobowcach sułtańskich w Brussie.

WENECJANIE NA CYPRZE

Rodzina Cornaro, zwana także Corner, należała zawsze do najświetniejszych wśród patrycjatu weneckiego. Pochodzenie swoje wywodzili Cornarowie od starożytnej *gens Cornelia*, która wydała Scipionów. Z upadkiem zachodniego cesarstwa opuścili podobno ci Korneljusze rzymscy brzegi Tybru i przenieśli się nad Adrjatyk, najpierw do Ariminium, dzisiejszego Rimini, potem na laguny. Nad Canal Grande, wzdłuż tej jedynej ulicy świata, która dziś, pomimo szczerb i pleśni, zniszczenia przez ludzi i przez morze, wygląda przecież jeszcze na zaklętą w marmur triumfalną apoteozę wszystkich arystokratycznych gloryj weneckich, wznosi się aż kilka pałaców, budowanych przez Cornarów. Już rozmaitością stylów z rozmaitych epok świadczą te pałace o długotrwałej świetności rodu, który je sobie w ciągu wieków stawiał. A tę długotrwałość potwierdza i sam rejestr weneckich dożów, bo od połowy XIV po XVIII stulecie aż czterech Cornarów nosiło czapkę książęcą z rogiem.

Większy atoli jeszcze blask padł na ród Cornarów od królewskiej korony, którą córka ich domu w drugiej połowie XV wieku uwieńczyła skronie. Katarzyna Cornaro, na tle barwnem Wenecji, lub w złotych promieniach cypryjskiego słońca — tu, wśród przepychu rodzinnego miasta, uczczona tytułem »córy Rzeczypospolitej«, tam, wśród wschodniego zbytku przecudnej

wyspy, niby dziedziczka złotowłosej Afrodyty, która przed nią »błogosławionym władała Cyprem« — *quae beatam diva tenet Cyprum*, — Katarzyna Cornaro żyje i żyć będzie we wyobraźni i w podaniu ludowem jako wypieszczone dziecko wróżek i czarodziejów. Ale w rzeczywistości była ona stawką w przebiegłej grze politycznej, liczbą w suchej kalkulacji tych najpozytywniejszych kupców w świecie, jakimi byli po wszystkie czasy Wenecjanie, i w życiu jej nie brakło gorzkich zawodów. Tylko ludzie z epoki Odrodzenia umieli na wyrządzoną krzywdę rzucać złocistą zasłonę, ażeby olśniewać wzrok i mącić sąd współczesnych. W taki płaszcz lśniący otuliła i Rzeczpospolita wenecka tę przybraną swoją córę.

Kiedy z końcem XII i w ciągu XIII wieku wojny krzyżowe poczęły tracić coraz więcej z pierwotnych, idealnych zamierzeń i celów, a przemieniały się często w wyprawy handlowe na zdobycie nowych stacyj zbytu i zamiany towarów ze Wschodem, począł się także i rozkwit Cypru. Szczęśliwe położenie wyspy na pograniczu wybrzeży Egiptu, Syrji i Azji Mniejszej, gdzie przybywające z dalekich okolic karawany dowoziły perły i drogie kamienie, dywany i bawełnę, korzenie i wonności wschodnie i tyle innych bogactw, nieznanych w Europie; ochronne porty, szczególnie port we Famagoście, jakby stworzony dla łatwego zawijania tam okrętów; wreszcie własna już obfitość zboża, wina, oliwy i kruszców, — to były warunki, które same przez się przeznaczały Cyprowi pierwszorzędną rolę na morzu Śródziemnem. Dwóchsetletnie panowanie francuskiego rodu Lusignan, któremu w czasie trzeciej wojny krzyżowej zdobywca Cypru, Ryszard Lwie Serce, oddał tę wyspę w lenno, przemieniło wnet ów odległy wschodni zakątek w tętniące życiem środowisko łacińskie. Dziś jeszcze opowiadają podróżni, jak niespodziany widok przy lądowaniu w cypryjskim porcie Famagoście zdumiewa oko, przywykłe w tych strefach do bizantyńskich kopuł i do tureckich minaretów: Na spalonej słońcem równinie, wśród rzadkich bukietów

palm, kaktusów i oleandrów, a ponad mury obronne, okalające port i miasto, strzelają pod ten wschodni strop niebieski wysmukłe gotyckie wieże i wydłużone nawy gotyckich kościołów. Mury obronne należą do olbrzymiej twierdzy, którą stawiał w XVI wieku słynny wojskowy architekt i pierwszy twórca pentagonalnych fortec, a przytem budowniczy licznych pałaców na północy Włoch, szczególnie wspaniałego pałacu Grimani w Wenecji, Michele Sammicheli, i bratanek jego, Gian Girolamo. Kościoły są dziełem bezimiennych wielkich mistrzów francuskich z XIII i XIV wieku. Aż trzydzieści ich naliczyć można we Famagoście. Wśród zniszczenia, jakie niósł wszędzie ze sobą islam, zniszczały po części i one. Z niektórych pozostały zaledwie szczątki, a na ich gruzach rozsiadła się mizerna mieścina turecka. Inne zawdzięczają względne zachowanie przekształceniu ich na meczety. Dzięki takiej metamorfozie dożyła dni naszych katedra, budowana współcześnie i na wzór katedry w Reims, a w której, tu, koronowali się królowie Cypru z domu Lusignan. »Żaden pomnik architektury francuskiej z XIV wieku — mówi znakomity tej architektury badacz i znawca[1] — nie dorównywa znaczeniem i całokształtem katedrze w Famagoście, nigdzie nie znajdzie tak doskonałego wzoru szczęśliwych proporcyj i smukłości«. A i inne świątynie gotyckie na Cyprze rywalizują czystością linij architektonicznych — choć niektóre z nich, niestety, już tylko w złomach i zrębach — z rówieśniczkami swemi z nad brzegów Sommy, Sekwany i Loiry. Dziwny to zaiste i przejmujący obraz przypływu i odpływu cywilizacji pomiędzy Wschodem a Zachodem na wiecznie rodzajnej fali Śródziemnego morza.

Znaczenie i dobrobyt Cypru wzrosły jeszcze, kiedy w połowie XIII wieku, z upadkiem Jerozolimy, spora garść osiadłej po pierwszych wojnach krzyżowych w Syrji i Palestynie szlachty

---

[1] Enlart, *L'art gothique et la Renaissance en Chypre.* Paris 1899. 2 vol.

francuskiej przeniosła się na gościnną wyspę i otoczyła dwór Lusignanów. Za nią nadciągali do Famagosty i do Nikozji kupcy francuscy i hiszpańscy, a przedewszystkiem włoscy, z Wenecji, Ankony, Genuy lub Pizy. Zajmowali się oni przedtem handlem na wybrzeżach syryjskich, teraz zaś, wyparci z dotychczasowych osad przez muzułmanów, szukali na Cyprze bezpieczniejszego schroniska. Z tą chwilą stał się pobliski Rodus najdalej na wschód wysuniętą twierdzą chrześcijaństwa, mianowicie odkąd tam osiadł Zakon rycerzy św. Jana; Cypr natomiast wyrósł na krańcową wielką stację dla handlu na Śródziemnem morzu. Bogactwo jego składów i kantorów, nad któremi powiewały różnobarwne sztandary rodzinnych miast kupczących, stało się w całym świecie przysłowiowem, a jakby echem baśni z tysiąca i jednej nocy krążyły na Zachodzie opowieści o uroczystościach, widowiskach i zabawach cypryjskich, przy których dwór, szlachta i kupiectwo szły o lepsze w zbytku, hojności i przepychu. »Na cały wiek, wiek XIV — mówi jeden z dzisiejszych uczonych orjentalistów francuskich[1] — stała się Famagosta międzynarodowem targowiskiem o znaczeniu Konstantynopola, Wenecji lub Aleksandrji, miastem nad wszelki wyraz bogatem, nad wszelki wyraz żywem i nad wszelki wyraz zepsutem«. Bo czar odurzający słońca tych stref, w parze z lubieżnym zbytkiem wschodnim, burzył krew, pobudzał namiętności i rozprężał obyczaje. Zabłąkani w owych czasach na Cypr pątnicy do Ziemi Świętej, ze zdumieniem, nieraz ze zgrozą, przyglądali się wyuzdanemu życiu Cyprjotów, a pielgrzymująca z dalekiej Szwecji do Grobu Pańskiego św. Brygida groziła na rynku w Famagoście mieszkańcom jej gniewem i pomstą Bożą. Dynastja Lusignanów przodowała przykładem w rozwiązłości, i jej historja składa się na szereg barwnych, ale mało budujących miłosnych powieści. Śladem

---

[1] Charles Diehl, *En Méditerranée. Villes mortes d'Orient.* Paris 1907.

swych panów szli zaś poddani, i cała wyspa stała znów pod znakiem i w służbie starożytnej swej władczyni, Afrodyty. Rzekomy jej sarkofag — bo takie pośmiertne uczłowieczanie bogów Olimpu nie było rzadkością w średnich wiekach, a nawet później, w epoce Odrodzenia, — wygrzebali Wenecjanie z rumowisk poświęconego jej niegdyś na Cyprze miasta Paphos, przewieźli do Famagosty i ustawili na jednym z placów miejskich, jakby na znak widomy, że na czarującą swoją wyspę *prisca redit Venus* — wraca ze swą wszechwładzą jej dawna pani.

Ale w tę tkaninę miłostek i romansów, któremi przedzierżgnięte są ówczesne dzieje Cypru, a na której nie brak coprawda i czerwonych plam krwi, wplotła wyobraźnia poety opowieść o tragicznych losach pięknej Wenecjanki. »...Cyprze, zegnij kolana przed nią!« — woła Cassio w chwili, kiedy biała Desdemona ląduje na wyspie poświęconej Wenerze, gdzie i ona spełni ofiarę miłości, ale miłości innej, czystej jak łzy, które wylewa nucąc smutną pieśń o wierzbie, i niczem nie skalanej. Ludzie zaś tak chętnie wcielają każdą baśń i gadkę, że jak dawniej sarkofag Wenery, tak dziś na jednej z ulic Famagosty pokazują podobno podróżnym pałac, w którym rozszalały z zazdrości Otello udusić miał nieszczęśliwą Desdemonę.

Zanim przecież Wenecja ugięła Cypr pod własne rządy, a więc przed epoką, na której tle osnuł Szekspir swój wielki dramat zazdrości, miała tą wyspą na wiek prawie cały zawładnąć ówczesna jej współzawodniczka na morzach wschodnich, Genua. Są to osobliwie krwawe karty w dziejach Cypru. Po długoletnich gwałtownych sporach małżeńskich pomiędzy królem Piotrem I de Lusignan, a żoną jego, Eleonorą Aragońską, sporach, którym oboje małżonkowie dostarczali aż nadto przyczyn i wątku, padł król Piotr pewnej nocy styczniowej 1372 r. na zamku w Nikozji, zamordowany przez szlachtę cypryjską, na której czele stał brat jego własny. Po-

grobowo w mężu rozkochana Eleonora postanowiła go pomścić. Na uroczystość objęcia przez siebie rządów sprosiła więc na zamek licznych gości, a między nimi i morderców małżonka. Stoły zastawione były w tej samej izbie, w której na krótko przedtem spełniono królobójstwo, a w pośrodku zastawy widniała duża, przykryta misa. Kiedy w czasie uczty wino już dostatecznie zagrzało umysły, na znak dany przez królową służba odkryła tajemniczą misę, na dnie której ujrzeli biesiadnicy ze zgrozą zbroczoną krwią koszulę zamordowanego króla. Było to hasłem rzezi, przygotowanej przez królową, rzezi, której pierwszą ofiarą padł jej bratobójczy szwagier. Aby położyć koniec podobnym wybrykom krwawej fantazji nowej swojej pani, wsadzili ją Cyprjoci wkrótce potem na okręt i odesłali do rodzinnego Aragonu.

Ale zajścia przy koronacji jej następcy, Piotra II, sprowadziły na wyspę donioślejsze polityczne następstwa. Pomiędzy Genuą i Wenecją wybuchł spór o rangę ich przedstawicieli na uroczystościach koronacyjnych. Rada przyboczna młodocianego króla przyznała pierwszeństwo Wenecjanom. Genueńczycy nie dali przecież za wygraną i z bronią ukrytą pod płaszcze ruszyli w dzień koronacji na dwór, ażeby siłą zdobyć sobie wyższe ponad przeciwników miejsca. Zbrojnych gości ujęto na czas, ale gdy w otoczeniu królewskiem rzucono na nich podejrzenie, że według uknutego spisku targnąć się zamierzali na życie samego króla, bez wdrożenia im procesu stracono ich doraźnie. Lud zaś, nienawidzący oddawna rozpanoszonych w kraju obcych kupców, skorzystał ze sposobności, aby rzucić się na rozsiadłych na wyspie Genueńczyków, splondrować i zagrabić ich mienie, a ich samych wyciąć w pień. Wedle współczesnych świadectw, ocalał z nich jeden tylko, który, choć ranny, zdołał umknąć i zanieść do rodzinnej Genuy wieść o pogromie ziomków na Cyprze. Obelgę pomściła Genua, kierując na Cypr najpierw rozproszone swoje na morzu Śródziemnem okręty, za któremi popłynęła wkrótce na ukaranie

Cyprjotów umyślnie na ten cel uzbrojona, silna flota wojenna. Pod jej naporem padły z kolei Nikozja, Paphos, wreszcie sama Famagosta, i z tą chwilą zawładnęli Genueńczycy całą wyspą. Ażeby jednak uniknąć pozoru przywłaszczenia sobie chrześcijańskiej ziemi, zdobytej niegdyś przez Krzyżowców, pozostawiła Genua koronę cypryjską Lusignanom, a tylko stałą załogą, osadzoną w Famagoście, i wymuszaną corocznie daniną utrwaliła rzeczywiste swoje rządy na Cyprze.

Zaostrzyło to z natury rzeczy starą jej rywalizację z Wenecją i trwające od przeszło stu lat walki, w których zmagały się obie rzeczypospolite morskie, zawrzały pomiędzy niemi ze zdwojoną teraz zaciętością. Zdawało się zrazu, że zbliża się już naprawdę zagłada Wenecji. Zwycięska flota genueńska stała u jej wrót, a na korną prośbę wysłanników senatu o pokój, wielki admirał genueński, Pietro Doria, w dumnych odpowiadał słowach, że »jak Bóg na niebie, tak im pokoju nie da, póki nie założy wędzideł bronzowym koniom, które stoją na straży bram św. Marka«. Tylko patrjotyzm, który w pełnych chwały dziejach Wenecji wywiódł ją tylokrotnie z ostatecznej opresji, stał się dla niej i teraz ratunkiem od niechybnej zguby. Pod tym bowiem względem wyprzedziła Wenecja nietylko bliższe jej Włochy, ale i resztę ówczesnego świata o całe wieki. Ofiarność życia i mienia na rzecz publiczną, wytrwałość, a przedewszystkiem karność, te niezbędne cnoty, stanowiące istotę prawdziwego patrjotyzmu, przyswoili sobie Wenecjanie w całej pełni, a przyswoili w czasach, kiedy gdzieindziej, wśród bierności ogółu, rozstrzygały o losach państw kaprys i samowola obcych, bezdomnych kondotierów, albo interes i egoizm dynastów. W podporządkowaniu się jednostek pod wspólny cel, w dostrajaniu wszystkich sił dla podjęcia tego celu, wyrobiło się natomiast tam, na lagunach, wcześnie już pojęcie wspólnej ojczyzny, przywiązanie do niej, oraz zrozumienie, że służba jej jest obowiązkiem. Takiemu patrjotyzmowi dał wówczas właśnie wyraz admirał wenecki, Vittore Pisani.

Za niepowodzenia powierzonej mu floty w walkach z Genueńczykami na wybrzeżach istrjańskich wtrącony przez surową Radę Dziesięciu do więzienia, znosił on cierpliwie twardy wyrok, kiedy za pojawieniem się genueńskich okrętów już prawie w samej Wenecji, bo pod Malamocco, lud runął pod mury więzienne, żądając uwolnienia swego ulubieńca, ażeby mu powierzyć obronę stolicy, i wnosząc okrzyki na jego cześć. A wtedy — opowiada barwna kronika Marina Sanuto [1] — podszedł dostojny więzień pod zakratowane okno, i strofując lud, przypomniał mu, że Wenecjanom jeden tylko okrzyk wznosić wolno: *Viva Messere San Marco!* Wypuszczony z więzienia, objął on istotnie na nowo dowództwo. I jak przed wiekiem, w r. 1284, Genua w bitwie pod wyspą Melorią pokonała najstarszą potęgę morską we Włoszech, Pizę, tak teraz, w sto lat potem, bo w r. 1380, złamała z kolei Wenecja pod bohaterską wodzą Pisaniego w długich walkach na Chioggii przemoc starej swej morskiej rywalki, Genuy, na zawsze.

Supremację na dalekim Cyprze zdołali przecież Genueńczycy utrzymać jeszcze przez lat kilkadziesiąt, aż i po tę wschodnią *ultima Thule* handlu na Śródziemnem morzu wyciągnęli weneccy kupcy chciwe swoje dłonie. I z tą chwilą właśnie pojawia się na widowni dziejów Katarzyna Cornaro.

Rzecz miała przebieg następujący: W drugiej połowie XV wieku sprawa sukcesji tronu po Janie, trzecim tego imienia, a czternastym z rzędu królu z dynastji Lusignan, zaburzyła znów spokój na Cyprze. Z prawa i woli testatora przeszła korona na Karolinę, jedyną jego córkę, wydaną za Ludwika, księcia sabaudzkiego, który po zgonie teścia koronował się wraz z żoną we Famagoście na króla Cypru i Jerozolimy, jak brzmiał starodawny tytuł królewski Lusignanów. Po zmarłym

---

[1] Marin Sanuto, *Vite de' Duchi di Venezia* (Muratori, *Rer. ital. script.*, t. XXII).

KATARZYNA CORNARO.

Według portretu Gentilego Bellini z galerji w Peszcie.

królu Janie pozostał był przecież obok córki, Karoliny, jeszcze i syn, Jakób, w nieślubnym wprawdzie zrodzony związku, ale pełen przedsiębiorczego ducha i ambicji. Ojciec przeznaczał go do stanu duchownego i bogate arcybiskupstwo w Nikozji miało mu przypaść w udziale. Królowej Karolinie wielce atoli zależało na tem, ażeby niepokojący ją ambicją brat nie stał jej za blisko, i to na tak wysokiem i wpływowem stanowisku. Zabiegami w Rzymie zdołała więc udaremnić wolę zmarłego ojca i pozbawić Jakóba przeznaczonej mu na Cyprze stolicy duchownej. Mszcząc się za doznaną krzywdę, wystąpił natomiast Jakób już nie z pretensją o arcybiskupstwo w Nikozji, ale o należącą mu się rzekomo z prawa samą koronę Cypru.

Cypryjscy królowie byli od kilkudziesięciu lat lennikami sułtana Egiptu. Od połowy XV wieku, od upadku Konstantynopola, potem pogromu Morei, a wśród wzmagającego się z dniem każdym naporu muzułmanów na chrześcijaństwo, stosunek lenniczy Cypru do Egiptu rozluźnił się był jednak zupełnie, a Ludwik sabaudzki i królowa Karolina, obejmując spuściznę po Lusignanach, nie zasięgali już wcale pozwolenia lennodawcy. Wszystko to potrafił Jakób tem łatwiej na swoją korzyść wyzyskać, że muzułmanie, przyzwyczajeni już bądź co bądź w tych strefach do współżycia z Lusignanami, niechętnem okiem spoglądali na Ludwika sabaudzkiego, jako na nowego intruza z Zachodu. Zresztą obcą była także ich pojęciu i zwyczajom sukcesja żeńska, na której królowa Karolina opierała swoje prawa do tronu. Tak więc za obietnicę stałego haraczu otrzymał Jakób bez trudności pomoc na dworze sułtańskim w Aleksandrji, i wylądowawszy na czele dodanych mu Mameluków na Cyprze, zdobył szybko ojcowskie królestwo dla siebie, a siostrę zmusił do ucieczki. Królowa Karolina rozpoczęła na Zachodzie pielgrzymkę tułaczą, żebrząc pomocy u królów i książąt chrześcijańskich. Wołania jej jednak nigdzie nie znalazły oddźwięku i tylko rycerze św. Jana na pobliskiej wyspie Rodus ofiarowali u siebie przytułek wygnance. A na

samym Cyprze jedyni Genueńczycy, władający jeszcze Famagostą, opowiedzieli się po jej stronie.

Obudziło to odrazu czujność Wenecji, która natychmiast snuć poczęła misterne nici, aby jak dojrzały owoc w splecioną z nich siatkę, nęcący ją oddawna Cypr padł niby naturalnem zrządzeniem pod jej stopy i władzę. Bo obok chwalebnego patrjotyzmu, poświęcającego istotnie wszystko dla wielkości Wenecji, właściwym był wszystkim Wenecjanom subtelny zmysł intrygi i szczególna zręczność, z którą, nie przebierając bynajmniej w środkach prowadzących do celu, nadawali każdej zdobyczy pozór słuszności i prawa.

Mieszkał naówczas na Cyprze patrycjusz wenecki, Marco Cornaro. Za wybryki młodzieńcze wygnany z Wenecji, osiadł on na dalekiej wyspie, gdzie rodzina jego za pożyczki udzielane niegdyś Lusignanom otrzymała była liczne włości wraz z przywilejem przyłączenia do własnego herbu — herbu dynastji cypryjskiej. Sam Marco zręcznym zarządem powiększył rodzinną fortunę i opływał w dostatki, a stojąc blisko dworu, zdobył sobie wyjątkowy mir i znaczenie na Cyprze. Czy tylko ambicja rodzinna kierowała zrazu jego zamiarami, czy — co przy wzorowej solidarności Wenecjan prawdopodobniejsze — działał on od początku w interesie i według wskazówek Wenecji, dość, że zaprzyjaźniwszy się z młodym Jakóbem, wciągnął go w wir zabaw i uciech swego domu, a wcześnie począł go nęcić ręką i wianem młodej bratanicy, chowanej w Wenecji, wychwalając mu urodę dziewczyny i pokazując mu wdzięczne jej wizerunki. Namowy ponowił Cornaro ze zdwojonem naciskiem, kiedy Jakób stał się po wygnaniu siostry istotnym panem Cypru. Znaczny posag i opieka potężnej Rzeczypospolitej stanowiły nielada przynętę dla młodego uzurpatora, a skrupuły co do nierównego związku rozwiał przemyślny swat, powołując się na przykład owej Tomassiny z rodu Morosinich, któremu przecież Cornarowie nie ustępowali w niczem, a która na dwieście lat przedtem wydana za księcia z panującej na

Węgrzech dynastji, i sama na tronie węgierskim zasiadła i osadziła na nim syna, Andrzeja III. Jakoż układy poszły obustronnie gładko i w r. 1469, w obecności doży i senatu, zastępca Jakóba de Lusignan zaślubił w Wenecji piękną, piętnastoletnią Katarzynę, — zaczem młoda królowa, żegnana triumfalnie przez rodzinne miasto, wsiadła na okręt, i otoczona galerami weneckiemi odpłynęła na Cypr.

Tylko przezorna Rzeczpospolita ustaliła odrazu poważne rękojmie dla praw swoich na Cyprze. Adopcja Katarzyny, ogłoszonej szumnie za »córkę Rzeczypospolitej«, nie obojętną była na wypadek możliwego po niej spadku, a posag, który wnosiła ona w dom Lusignanów, ubezpieczono na Famagoście i innych miastach cypryjskich, przez co samo już kładła na nie Wenecja swoją dłoń. Zresztą »zięć Rzeczypospolitej«, jakim został przez ten związek król Jakób — którego kronikarz Marin Sanuto w miękkim dialekcie weneckim stale *il re Zacco* nazywa — najlepsze z tą swoją dostojną świekrą utrzymywał stosunki. Ona zaś wzamian pozostawiała zawsze w portach cypryjskich kilka swoich okrętów, a od czasu do czasu wielka jej flota wojenna, zajęta w tych morskich okolicach nieustanną walką z Turkami, zawijała, jakby dla stwierdzenia swej opieki, i na wybrzeża Cypru.

W ten sposób kilkunastoletnie panowanie pięknej Katarzyny znaczyło się powolnym i dzięki zręcznej polityce Wenecjan jakby z naturalnego rozwoju rzeczy wypływającym, ale ciągłym wzrostem wpływu ich i władzy na Cyprze. Pierwszym na tej drodze ważniejszym etapem była śmierć młodego króla. Biedny *re Zacco* już w trzy lata po ślubie rozstał się z tym światem. Z woli jego ostatniej opieka nad wdową, oczekującą potomstwa, dostała się w ręce stryja jej i swata, Marka Cornaro. Dla Cyprjotów był to cios dotkliwy. Wszakże zmarłemu królowi pomogli byli do zdobycia Cypru i do wygnania królowej Karoliny tylko dla uchronienia się przed rządami obcego im, sabaudzkiego księcia. Teraz mieli nad sobą królowę z obcej

krwi, za którą na domiar sprawował rządy cudzoziemiec, znienawidzony dla swej zachłanności i krętactwa. Przeciw Wenecjanom i Wenecji poczęto na wyspie spiskować i szukać w tym celu sprzymierzeńców po świecie. Dawna rywalka Wenecji, Genua, rozdarta wewnętrznemi waśniami, oddająca się naprzemian to Francji, to medjolańskim Sforzom, nie przedstawiała już dostatecznego oparcia. Ale na południu Włoch stał zawzięty wróg Rzeczypospolitej św. Marka, zazdrosny o jej wzrastającą z rokiem każdym siłę i nienawidzący ją z głębi duszy za jej wyniosłą, coraz bardziej samoistną wobec reszty Włoch politykę. Tym wrogiem był król neapolitański, ponury Ferrante, z domu Aragonów, o którym współczesny mu Filip de Commynes[1] mówi, że »nikt nie rozeznał się nigdy w nim samym, ani w jego gniewie« — *nul ne se cognaissait en luy ne en son courroux, car en faisant bonne chère, prenait et trahissait les gens.* Wszystkie te właściwości pasowały go jak wraz na najcenniejszego dla spiskowców cypryjskich wspólnika.

I zrodziła się znów w krętych umysłach owych ludzi jedna z tych dziwnych, zawiłych kombinacyj politycznych, w jakie ta epoka obfituje. Młodziutkiego, nieślubnego syna króla Ferranta, Don Alonza, postanowiono zaręczyć z nieletnią także i także nieślubną córką zmarłego króla Zacco, a siostra tegoż Zacca. wygnana królowa Karolina, miała małego Alonza adoptować, nadać mu tytuł księcia Galilei, jak brzmiał starodawny tytuł następców tronu cypryjskich, i przelać na niego w ten sposób własne swoje pretensje do Cypru. Tak więc prawe i nieprawe gałęzie Lusignanów miały połączyć swe rozbieżne dotąd prawa. Ale o co bardziej zawierającym ten układ chodziło, protektorat nad młodą parą, aż do jej pełnoletności, i protektorat nad jej dziedzictwem, a więc nad Cyprem, przypadał, według umowy, królowi Ferrante w udziale, i Nea-

[1] *Mémoires de Philippe de Commynes*, VII, 13. (Edit. Mandrot. Paris 1901).

politańczycy mieli w ten sposób wyrugować Wenecjan z Cypru. Tylko, jak to często w spiskach bywa, nadmierna spiskujących gorączkowość naraziła sprawę przedwcześnie i zwichnęła jej wynik. Bo gdy sprzysiężeni, słusznie czy niesłusznie, szerzyć poczęli na wyspie wieść, że król Zacco nie umarł śmiercią naturalną, ale padł ofiarą żądnego władzy Cornara, wzburzony lud pomścił doraźnie pamięć swego pana, i zwabiony w zasadzkę Wenecjanin zginął od sztyletu mordercy.

Należało to zdawien dawna do chwalebnych tradycyj Wenecji, aby strzec pilnie praw i bezpieczeństwa swoich poddanych na obczyźnie i nie puszczać płazem żadnej wyrządzonej im krzywdy. Wymagał tego interes handlu, wobec tylu Wenecjan kupczących po dalekich krajach. Ale jeżeli i najskromniejszego z obywateli weneckich brał rząd wenecki w opiekę i karał tych, którzy śmieli się targnąć na jego mienie lub życie, to o ileż groźniejszym musiał być odwet w wypadku, jak ten, gdzie ofiarą był człowiek miary i znaczenia Cornara i gdzie wchodziły w grę najważniejsze bodaj interesy Rzeczypospolitej. Próżno usiłowali spiskowcy upozorować spełnione morderstwo jako czyn zemsty prywatnej, jako rzekomy wybryk żołnierzy, dopominających się o zaległe żołdy; próżno zmusili drżącą z przestrachu królowę, aby i ona w takiem świetle łagodzącem przedstawiła senatowi weneckiemu spełnione na jej stryju morderstwo. Zanim jeszcze senat zdążył poczynić odpowiednie zarządzenia, już czujny Piotr Mocenigo, dowódzca floty weneckiej, krążącej właśnie u wybrzeży Peloponezu, na pierwszą wieść o wypadkach na Cyprze, skierował tam odrazu swoje statki wojenne. Z siewców rebelji jedni życiem, drudzy mieniem, inni wreszcie wygnaniem zapłacili za winę. Ale co ważniejsza, pod pozorem tłumienia niewygasłego jeszcze tu i ówdzie buntu poobsadzał Mocenigo załogami weneckiemi, które ściągnął z różnych stacyj weneckich na archipelagu, wszystkie większe miasta na wyspie,

a tym sposobem jednym zamachem zagarnęli Wenecjanie całą władzę na Cyprze dla siebie.

Z biegiem lat stawała się więc Katarzyna bladym tylko cieniem dawnej królewskości Lusignanów, szczególnie odkąd śmierć zabrała jej rocznego zaledwie synka, jedyne dziecię pogrobowe króla Zacco, i położyła w ten sposób żałobny kres wszelkim jej ambicjom dynastycznym na przyszłość. Czy była ona zresztą zdolną osobistych ambicyj i pragnień? Historja o tem milczy, ale znając niwelacyjną siłę Wenecji, która i męskie indywidualności trzymała w karbach, aby nie wystrzelały ponad ogół, przypuścić trudno, żeby w słabej kobiecie, pod czujnem okiem nasłanych na nią opiekunów czy strażników z Wenecji, mogła się była zbudzić choćby pokusa niezależności. — Lecz o zewnętrzny blask jej korony, który miał przypominać i stwierdzać, że Cypr do niej należy, dbali Wenecjanie przecież tem więcej, ile że po śmierci królewicza stała się teraz Rzeczpospolita jedyną tej przybranej swojej córki prawną spadkobierczynią.

Ale »kłopoty cypryjskie« — *curae Cypriae*, — o których mówi historyk Rzeczypospolitej, słynny Pietro Bembo,[1] mąciły nadal spokój weneckiego senatu. Z jednej bowiem strony długa wojna z Turkami utrudniała Wenecjanom komunikację z daleką wyspą, z drugiej zaś król Ferrante snuł nieprzerwanie nawiązaną już od lat z wygnaną królową Karoliną intrygę, byle wydrzeć znienawidzonej Wenecji tę ważną wschodnią jej placówkę i zagarnąć ją pod wpływ neapolitański. Jakoż z jego namowy adoptowała Karolina syna jego, Don Alonza, zaręczonego z młodziutką równolatką, chowaną na Cyprze nieślubną córką króla Zacco, Carlottą, aby w ten sposób, jak się już rzekło, połączyć w jednem stadle wszystkie prawa Lusignanów do Cypru. Prócz tego okręty neapolitańskie ruszyły do schroniska królowej Karoliny na wyspie Rodus, aby ją przewieźć

[1] *Petri Bembi Opera omnia.* Argentor. 1609 (*Hist. Venet.*, I).

do Aleksandrji, gdzie miała zjednać dla swojej sprawy lennodawcę Cypru, sułtana Egiptu. Wprawdzie powiadomiona zawsze o wszystkiem Wenecja rozkazała krążącym na tych wodach swoim okrętom dybać na statki płynące od strony Rodu ku wybrzeżom egipskim, a rozkaz był stanowczy, bo wedle ówczesnego dziejopisa weneckiego, Andrzeja Navagero,[1] brzmiał krótko, aby królowę Karolinę schwytać i stracić, *dando voce d'essere morta nell' ardore della battaglia* — »rozsiewając wieść, że zginęła w zamęcie bitwy«... Powiodło się jednak Karolinie zmylić straże i wylądować w Aleksandrji. I tam, wkrótce po jej przybyciu, a jakby na świadectwo zupełnego już zaniku dawnych chrześcijańskich tradycyj z czasów wojen krzyżowych, niezbyt budujący dla chrześcijańskiego świata przedstawił się widok: widok dwóch królowych Cypru, a więc noszących i odziedziczony po Lusignanach tytuł królewski Jerozolimy, z których jedna, Karolina, osobiście, druga, Katarzyna, przez posłów prawowały się przed muzułmanami o koronę.

Sułtan, któremu podobne spory wśród chrześcijańskich dynastów były na rękę, nie kwapił się z ich rozstrzygnięciem. Ale Wenecjanie, aby położyć kres intrygom króla Neapolu, porwali tymczasem na Cyprze zaręczoną z jego synem, młodocianą Carlottę de Lusignan i wywieźli ją do Wenecji. Nie dając za wygraną, i tam tropił wszakże za nią wytrwały Ferrante, usiłując przemocą czy podstępem dostać ją w swoje ręce i skojarzyć, naprzekór Wenecji, ze synem swoim, Don Alonzem. I tak pewnego dnia 1478 r. pojawiła się na Lido handlowa łódź katalońska, naładowana owocami, przeznaczonemi rzekomo na sprzedaż w Wenecji. Tylko czujna Rada Dziesięciu odkryła na czas, że pod przebraniem katalońskich przekupniów kryli się żołnierze neapolitańscy, nasłani przez

---

[1] *Andreae Naugerii Historia Veneta* (Muratori, *Rer. ital. script.*, t. XXIII).

chytrego swego pana, aby za jakąbądź cenę dostać w swoje ręce małą Carlottę i uprowadzić ten pożądany oddawna łup do Neapolu. Na rozkaz senatu przewieziono natychmiast dziewczynkę pod silną strażą do warownego zamku w Padwie, gdzie, jak dodają sucho ówcześni dziejopisarze weneccy, wkrótce umarła.

Szukać dziś powodów śmierci ludzi z owych czasów, jest zadaniem płonnem. Ale każdego uderzyć musi tak szybkie po sobie znikanie z widowni wszystkich tych jednostek, których istnienie oddalało Wenecjan od cypryjskiego dziedzictwa. W krótkim okresie lat pięciu znika król Zacco, znika urodzony mu z Katarzyny Cornaro pogrobowiec, znika wreszcie to bierne narzędzie intryg neapolitańskich, mała Carlotta. Sismondi w swej *Historji Rzeczypospolitych włoskich*[1] wspomina, że już współcześni szeptali o truciźnie. Inny autor z XIX wieku, nieprzychylny coprawda zresztą Wenecji, Daru,[2] nie szczędzi jej przy tej sposobności złośliwej uwagi, że dla kogoś, ktoby uniknąć pragnął choćby pozorów trucicielstwa, niedogodną być musiała tak dokładna usłużność przypadku. A mimowoli stają w pamięci ponure słowa najgłębszego tej epoki znawcy, Jakóba Burckhardta, który mówiąc o rządach i dynastach z czasów Odrodzenia, stwierdza, że większość ich nie mogła wystawiać na widok publiczny swoich zmarłych.

I znowu na lat kilka przycichają »cypryjskie kłopoty« Wenecjan. Na wyspie panuje względny spokój: króluje Katarzyna Cornaro, a rządzą Wenecjanie, i nazwisko Cypru rzadziej się pojawia pod piórem annalistów Rzeczypospolitej. Aż około roku 1488 znajduje się w *Historjach* Piotra Bembo, który tych czasów własną sięgał pamięcią, uwaga, że »troska senatu o Cypr wzmogła się natenczas na wieść, iż Ferdynand,

---

[1] Sismondi, *Hist. des Républ. ital. du moyen âge*, t. X, cap. 82, i t. XI, cap. 86.

[2] Daru, *Hist. de la Républ. de Venise*, t. III, cap. 17.

król Neapolu, kusi królowę Katarzynę małżeństwem ze synem swoim Fryderykiem i usiłuje w ten sposób zdobyć wyspę«. Istotnie bowiem, pomimo tylokrotnych zawodów, próbował stary Ferrante z nieugiętym uporem jeszcze i teraz wydrzeć Wenecjanom Cypr, a po nieudanych intrygach z królową Karoliną, która do tej wyspy rościła sobie tylko pretensje, zwrócił się obecnie do królowej Katarzyny, noszącej rzeczywiście koronę cypryjską. Przedtem, w zamierzonem małżeństwie dziecięcej jeszcze pary chciał posiąść tylko zadatek na przyszłość; teraz wysuwał naprzód dorosłego syna Fryderyka, który wespół z dorodną, zdrową i dopiero trzydziestoczteroletnią Katarzyną Cornaro mógł mu za jego jeszcze życia przysporzyć wnuków i stać się założycielem dynastji aragońskiej na Cyprze.

Cierpliwość Wenecji dobiegła kresu. Bo w razie wyjścia Katarzyny zamąż, na marne szły długoletnie, a tak mozolne zabiegi Rzeczypospolitej i rozpadał się w gruzy gmach, wznoszony powoli kosztem tylu trudów i ofiar. Należało więc działać szybko i wobec grożącej utraty dziedzictwa znaleźć natychmiast inny tytuł prawny dla zawładnięcia Cyprem. A takim tytułem mogło być tylko zrzeczenie się Katarzyny praw swoich na korzyść Rzeczypospolitej, czyli darowanie przez nią Cypru Wenecji.

Nic równie znamiennego dla pojęć i taktyki Wenecji, jak owe rady i namowy, z któremi Rzeczpospolita św. Marka wysłała co prędzej brata królowy Katarzyny, Giorgia Cornaro, do niej na Cypr. Streszcza je w swoich *Historjach* Bembo, a jeżeli wykwintny stylista własną je może okrasił retoryką, to są one niemniej wiernym z pewnością wyrazem instrukcyj, danych wysłannikowi przez senat wenecki, i wskazują, w jakiem świetle Wenecja postanowienie swoje światu przedstawić chciała. »...Niechby królowa oddała Cypr Rzeczypospolitej, a sama wróciła do Wenecji, aby tam, w ojczyźnie i wśród swoich, dokonać w spokoju i bezpieczeństwie ile jej jeszcze lat życia zostaje (a liczyła ich dopiero trzydzieści i cztery!).

Pocóż ma nadal, na odległej, podejrzanej wyspie, powierzać los swój i życie obcym? Niech rozważy natomiast, jak chlubną kartę w dziejach ojczystych posiędzie, jeżeli odda to prześwietne królestwo ojczyźnie, ażeby zapisano w annalach na wieczną rzeczy pamiątkę, że Rzeczpospolita wenecka przez własną obywatelkę darem bogatego Cypru powiększoną i ozdobioną została. Toż należy się przecie, aby po tylu latach spędzonych na Cyprze splendorem swoim opromieniła i swoich bliższych, braci, siostry, krewnych, i całą zresztą Wenecję. Niczyj przyjazd nie będzie tak miłym Wenecji, jak jej tamże przybycie. Bo nawet gdyby Wenecja była jakąś nędzną tylko mieściną, toć przecież z samego przywiązania lubi każdy powrócić na miejsce, gdzie ujrzał światło dzienne, aby te kąty raz jeszcze ujrzeć, a i siebie bliskim swoim po tylu latach pokazać. A cóż dopiero w tym wypadku, gdzie chodzi przecież o miasto, zdaniem powszechnem wspaniałością nad wszystkie inne na świecie wystrzelające. Dlaczegożby więc, zaproszona po latach tylu przez senat i Rzeczpospolitą, nie dała radosnej folgi wezwaniu?« ..

Katarzyna znała zbyt dobrze, choćby z doświadczeń królewskiej swej współzawodniczki, Karoliny, niewesołe losy królów na wygnaniu, aby usłuchać chętnie namowy brata. Ciężko jej było opuszczać wyspę, z którą się zżyła przez lat kilkanaście, pożegnać się z przepychem i zbytkiem, jakie ją tam otaczały, rozstać z czarem tej wschodniej strefy, którego nikt pono bezkarnie nie zazna. Toteż długo i usilnie targowała się z bratem, przedstawiała mu ze łzami, że Rzeczypospolitej powinnaby przecież wystarczyć pewność, iż Cypr jej kiedyś drogą spadku po niej przypadnie. Brat wznawiał nalegania, a Katarzyna z doświadczenia wiedziała, że życzenie, wyrażone przez senat wenecki, miało moc rozkazu.

Pod tym rozkazem przyszło się więc i jej nakoniec ugiąć, i 26 lutego 1489 r., po solennej mszy, odprawionej do Ducha Świętego na zamku w Famagoście, a wśród roztoczonej po

raz ostatni pompy królewskiej na wyspie, wręczyła Katarzyna dowódcy załogi weneckiej poświęcony sztandar św. Marka. Był to znak widomy przekazania Cypru Wenecji, i gdy w kilka dni potem wsiadła królowa na okręt, aby odpłynąć do dawnej ojczyzny, żegnały ją zatknięte już na wszystkich wieżach i basztach cypryjskich chorągwie ze lśniącym na nich triumfalnie w promieniach wschodniego słońca, złotym lwem weneckim. Ażeby zatrzeć z królewskiej darowizny plamę przymusu, witała Rzeczpospolita powracającą swoją córę dziękczynnym hołdem, jakby za wyświadczoną dobrowolnie łaskę: sam doża wyruszył na jej spotkanie, i z nim, a w otoczeniu poważnych senatorów i dostojnych matron, przypłynęła Katarzyna na »Bucentaurze« do Wenecji — *quod ante id tempus Venetarum feminarum contigerat nulli* — »co (jak mówi Bembo) nie zdarzyło się jeszcze żadnej Wenecjance«.

Tout finit par des chansons — mówił Beaumarchais o przedrewolucyjnej Francji XVIII stulecia. *Tout finit par des dialogues* — możnaby powiedzieć o Włoszech z czasów Odrodzenia. Senat wyznaczył Katarzynie Cornaro zamek Asolo w Trewizańskiem na rezydencję, gdzie żyła odtąd, otoczona wyborowem gronem pisarzy i artystów. I raz jeszcze pojawia się jej imię u współczesnego autora, ale w dziełku nie politycznej już bynajmniej treści. Pomiędzy rokiem 1498 a 1502 pisze przytaczany już kilkakrotnie w ciągu tego opowiadania, uczony i wykwintny kierownik ówczesnego smaku literackiego, Pietro Bembo, w tak ulubionej w owej epoce i częstej formie dialogu, słynny swój traktat pod tytułem *Gli Asolani*, dziełko, o którem już w pół wieku potem wenecki wydawca[1] mówi, że »za niecywilizowanego i pozbawionego dobrego smaku — *poco gentile e di poco bon gusto* — uchodził ten, kto go nie posiadał w swym księgozbiorze i nie czytał«. Jest to jeszcze jedna z owych rozpraw o istocie miłości — temat opraco-

[1] *Le prose del Bembo: Gli Asolani.* In Vinegia 1554.

wywany do przesytu przez autorów włoskich w ciągu trzech przeszło stuleci, począwszy od epigonów trubadurów prowensalskich w Sycylji i w Neapolu, przez Dantego i Petrarkę, aż do pisarzy przekwitającego humanizmu w wieku XVI. Bembo gromadzi rozprawiające swoje towarzystwo, złożone z trzech Wenecjan i tyluż Wenecjanek, w uroczych ogrodach w Asolo. Pierwszego dnia Perottino, wyraźna ofiara nieszczęśliwej miłości, w gwałtownej inwektywie przypisuje temu uczuciu wszelkie utrapienia i męki ludzkie; nazajutrz drugi protagonista dialogu, Gismondo, zwalcza jego zarzuty w szumnej apologji miłości; wreszcie trzeciego dnia — a tu już w obecności samej królowy — występuje Lavinello z syntezą i określa prawdziwą miłość jako pragnienie piękna, lecz piękna nie natury przemijającej i ludzkiej, ale boskiej i nieśmiertelnej. Wśród takiego platońskiego akordu po raz ostatni pobrzmiewa głośniej nazwisko Katarzyny Cornaro.

Wygnana przez burzę Ligi w Cambrai z Asolo, schroniła się ona do Wenecji i tam, licząc lat pięćdziesiąt i sześć, w r. 1510 umarła. Zwłoki jej, złożone najpierw w kościele św. Apostołów, rodzinnej świątyni Cornarów, przeniesiono następnie do kościoła San Salvatore w pobliżu Rialto, a grobowiec jej zdobi marmurowa płaskorzeźba, przedstawiająca chwilę oddania Cypru Wenecji.

A jest w Wenecji jeszcze i drugi pomnik, który przypomina te wenecko-cypryjskie stosunki.

Ośmdziesiąt i dwa lata trwało panowanie Wenecjan na Cyprze po ustąpieniu królowej Katarzyny, kiedy w r. 1571 dzikie hordy sułtana Selima obległy Famagostę. Przez rok cały broniła się bohatersko szczupła wenecka załoga twierdzy, pod dzielnem dowództwem Marcantonia Bragadino, proweditora Rzeczypospolitej. Aż kiedy zabrakło już prochów, a o odsieczy wobec mrowia zalegających wybrzeża Turków mowy być nie mogło, poddał się Bragadino, warując w układach wolny odwrót wojska na Kandję, a poszanowanie wiary i życia

dla mieszkańców Famagosty. Ale w chwili, kiedy opuszcza twierdzę, schwytać go kazał wiarołomny Mustafa pasza, pojmać, i na oczach całej Famagosty, na rynku przed katedrą, przywiązanego do słupa żywcem obedrzeć ze skóry. Wśród okropnych męczarni, ale bohaterski w śmierci, jak za życia, skonał Bragadino, polecając duszę Bogu i wzywając pomsty niebios na niewiernych. Jako ohydne trofeum posłali zaś Turcy zdartą z ofiary skórę na dwór sułtański do Konstantynopola. A choć już w kilka zaledwie tygodni potem walne zwycięstwo chrześcijańskiej floty pod Lepanto położyło kres naporowi muzułmanów na Zachód, daleki Cypr pozostał na długie wieki w ich rękach i po prawie czterechsetletnim rozkwicie popadł w oną martwotę, jaką niósł w ślad za sobą na wszystkie swoje zdobycze islam. Tylko świętą dla nich relikwję ostatniego swego na Cyprze obrońcy wykupili Wenecjanie za cenę złota w Stambule, i zamkniętą w kamiennej urnie skórę Bragadina złożyli na okazałym pomniku w kościele śś. Jana i Pawła, w tym Panteonie weneckiej sławy, obok grobowców wielkich swoich dożów, Michała Steno, Piotra i Tomasza Mocenigo, Wawrzyńca Loredano i tylu innych.

Grobowiec Katarzyny Cornaro w kościele San Salvatore mówi o polityce Wenecji, przemyślnej i zręcznej, ale często krętej, z której się niejednego nauczyć, ale na której nie zawsze wzorować się można. Pomnik Bragadina u śś. Jana i Pawła opowiada natomiast o patrjotyzmie Wenecjan, który naprawdę i bez zastrzeżeń służyć może wszystkim i po wszystkie czasy za przykład.

APOLOGETA STAROŚCI

Z XVI WIEKU

Rówieśnikiem słynnej królowej Cypru, Katarzyny Cornaro, bo tylko o trzynaście lat od niej młodszym, był urodzony w 1467 r. i zamieszkały w Padwie inny potomek świetnego weneckiego rodu Cornarów, pogodny filozof Luigi Cornaro. Bujne natury ówczesnych ludzi w najrozmaitszych rozwijały się kierunkach i w najróżnorodniejsze wcielały typy. Tak też i Cornarowie obok kilku dożów weneckich, obok królowej Katarzyny, wyhodowali sobie także innego rodzaju ilustracje rodowe. O stryju i swacie tej Katarzyny, o Marku Cornaro, szeptano, słusznie czy niesłusznie, na Cyprze, że pozbył się skrytobójczo jej małżonka, Jakóba III Lusignan, aby w roli opiekuna wdowy objąć nad królestwem cypryjskiem rządy. A któryś inny z Cornarów, już przedtem za zabójstwo wygnany z Wenecji, osiadł był w Padwie. Od niego pochodził Luigi Cornaro.

Młodzieńcze jego lata przypadły na tę ważną w dziejach Padwy chwilę, kiedy po dwóchsetletniem już przeszło istnieniu, uniwersytet padewski doborem znakomitych magistrów i liczbą słuchaczy nietylko doganiać, ale prześcigać począł w znaczeniu starszą, macierzystą szkołę bolońską, z której się był w r. 1222 przez secesję części scholarów wyłonił. Było to nad wyraz zręczną taktyką Wenecji, kiedy po zdobyciu w początkach XV stulecia Padwy, odrazu otoczyła jej uniwersytet jak najtroskliwszą opieką. Nie szczędzono na ten cel ofiar: aby uchro-

nić Padwę od bliskiego na tem polu współzawodnictwa, pozamykano wszystkie szkoły istniejące na ziemiach weneckich, jak w Treviso i w Vicenzy, wszystkim zaś poddanym Rzeczypospolitej św. Marka zakazano surowo odbywać studja gdzieindziej, jak w Padwie. Z pełnym rozkwitem swej szkoły stała się więc wkrótce Padwa najpierw weneckiem i włoskiem, następnie światowem, pierwszorzędnem środowiskiem nauk. Wenecja natomiast, pomna samodzielnej politycznej przeszłości tej świeżej swojej zdobyczy, obchodziła się z Padwą jak z siostrą, ale krzątając się sama około wiela, strzegła bacznie, aby ta siostra, która inną obrała cząstkę, trzymała się jej ściśle, a nie sięgała poza tę granicę. Tym sposobem zapomniano wnet w Padwie o polityce i przestano się nią zajmować, a dla Wenecji wychowywali się tymczasem na uniwersytecie padewskim synowie jej na dzielnych polityków i mężów stanu.

Równocześnie z rozkwitem nauk w archigimnazjum padewskiem, rozkwitały w Padwie pod rządem weneckim w całej pełni, a wcześniej może i bujniej aniżeli w onej epoce w samejże Wenecji, malarstwo i rzeźba. Zrazu, jakby powtórzeniem tradycji z *trecento*, kiedy Florencja pożyczała Padwie Giotta, znowu Florencja przysyłała jej, tym razem największego ze swych ówczesnych rzeźbiarzy, Donatella; w roku 1443 stawia on przed kościołem św. Antoniego, na cześć weneckiego wodza Gattamelaty, pierwszy od czasów starożytnych spiżowy konny pomnik, a szeregiem innych rzeźb zdobi wnętrze świątyni *del Santo*. Ale jeżeli ten śmiały realista idzie samoistnie drogą oryginalnego swego genjuszu, to z pewnością nie bez wpływu odradzającej się wśród uczonych padewskich klasycznej tradycji tyle motywów starożytnych weszło odrazu do powstałej wówczas w Padwie, tamtejszej szkoły malarskiej. Założył ją Squarcione, sam zbieracz starożytnych zabytków, a uświetnił wielki Mantegna, który nieraz zamieniać się zdaje pendzel na dłóto, kiedy pod rzymskie łuki, a pośród klasycznych panoplij, stawia swoje potężne, jakby z marmuru wykute postaci.

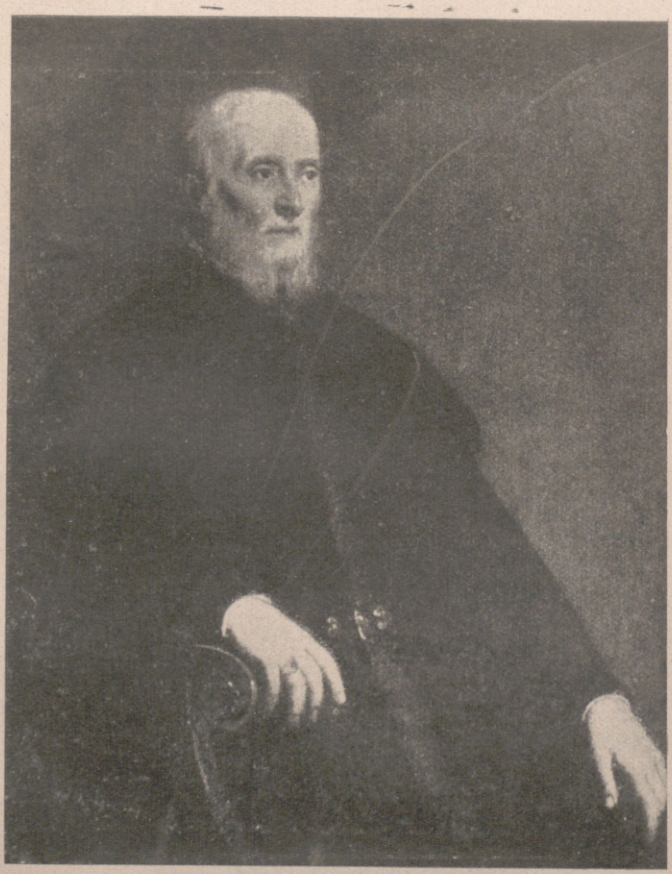

LUIGI CORNARO.

Według portretu Tycjana lub Tintoretta z galerji Pitti we Florencji.

Wśród nauki i sztuki płynęło więc życie ówczesnych mieszkańców Padwy. Kto chciał, ten mógł wobec bliskości Wenecji wyjrzeć każdej chwili przez to szerokie okno na resztę świata, z którym go zresztą i w samej Padwie łączył liczny zastęp cudzoziemskich scholarów. Ale mógł się dowoli i cofnąć w ustronne zacisze, gdzie prócz gwarów, czasem i hałasów studenckich, żaden inny zgiełk nie mącił myśli i nie zakłócał mu spokoju. Toteż oprócz żywiołów uniwersyteckich, jak nauczycieli i uczniów, ściągali do Padwy chętnie, bądź przelotnie tylko, bądź na dłuższy pobyt, i inni ludzie myśli i pióra. A jeden z nich, przybyły tam i osiadły w r. 1521, wówczas przeszło pięćdziesięcioletni Piotr Bembo, ów wielki uczony i wielki intelektualny smakosz, w liście[1] pisanym do przyjaciela z wdzięcznością zaświadczał Padwie, że »oddycha się w niej najzdrowszem powietrzem, że jest ona już sama przez się nader pięknem miastem, wygodnem i ponad wszystkie inne stworzonem do naukowych i literackich zajęć, i że w niej, czy w pobliżu, na willegiaturze, życie płynie w błogim, wolnym od wszelkich trosk spoczynku«.

W takiem środowisku i w takiej atmosferze płynął też długi, bo stuletni prawie żywot padewskiego Cornara. Dwie przechowały się po nim do dziś dnia pamiątki: pałac, który zbudował sobie w Padwie, oraz książka, którą napisał. Obie pamiątki są rozmiarami skromne, bo pałac składa się właściwie z dwóch willi ogrodowych, a książka liczy kilkadziesiąt zaledwie stronic. Ale i kształt pierwszych i treść drugiej świadczą o wysokim poziomie kulturalnym tego, który sobie takie gniazdko usłał i taką książeczkę napisał.

W najruchliwszej dzielnicy ówczesnej Padwy, bo w pobliżu kościoła św. Antoniego, a wśród ogrodów, ciągnących się za pałacem Giustiniani, który pierwotnie zamieszkiwał, wybrał Luigi Cornaro miejsce pod budowę swojego domu. Z tą bu-

[1] Bembo, *Lettere* (I 5, 1).

dową, rozpoczętą około 1525 roku, łączy się szereg imion, których blask opromienia lata pełnego rozkwitu Odrodzenia. Budowniczego polecił mu sam Piotr Bembo, a więc wytrawny i wybredny znawca, którego protekcja była dla każdego artysty pochlebnem już świadectwem. Był nim Giovan Maria Falconetto. Urodzony w Weronie, poświęcał się Falconetto zrazu malarstwu i kształcił podobno w szkole Melozza da Forli, a freski, zdobiące kilka kościołów w rodzinnem jego mieście, z pod jego wyszły pendzla. Ale zamiłowanie do zabytków architektury starożytnej, częste w tym celu podróże po rozmaitych okolicach, zwłaszcza do Rzymu, gdzie pośród ruin i wykopalisk z Witruwjuszem w ręku rysował, brał pomiary i zbierał wzory klasyczne starego rzymskiego budownictwa, ku budownictwu zwróciły i jego własny talent. Dwie bramy po zachodniej stronie miasta; rodzaj willi czy odeonu o okrągłym kształcie, na którym wzorować się miał Palladio przy budowie słynnej *Villa Rotonda* w Vicenzy; fasada w kształcie łuku triumfalnego pałacu *del Capitanio*, wreszcie dokończenie budowanej już od szeregu lat kaplicy na grobie św. Antoniego, kaplicy, która stanowi prawdziwe *sacrosanctum* padewskie, i gdzie pracowali doborowi tylko artyści — to są główne dzieła, któremi nazwisko Falconetta zapisało się w Padwie. Ale kwiatem jego talentu są owe dwa pałace czy pałacyki — bo *palazzino* i *palazzetto* bywały częstą formą ówczesnej architektury włoskiej — które mu stawiać dla siebie zlecił Luigi Cornaro. Są to małe, ale monumentalne ciosowe budynki, postawione obok siebie pod prostym kątem i połączone arkadą. Pierwszy z nich, równoległy do pałacu Giustiniani, jest dwupiętrową *loggią*, której dół stanowi otwarty portyk, górę zaś zajmuje wielka sala, przeznaczona na przyjęcia, uroczystości lub widowiska. Stojące obok *casino*, to dom mieszkalny z szeregiem małych, kształtnych a wesołych izdebek i pokoi. Marmurowe posągi, dłóta Joan Padoana, wypełniają nisze pomiędzy oknami, wewnątrz zaś bogate sztukaterje i groteski uweselają ściany

i wskazują na mistrza, który znać musiał otwarte wówczas od niedawna, a odrazu powszechnie naśladowane, watykańskie *loggie* Rafaela. Dla padewskiej *loggii* Cornara przygotowywał podobno Tycjan szkice do fresków, które wykonał Campagnola. Szkice zaginęły, a freski Campagnoli, obramowane stjukami, obecnie w bladych już tylko istnieją śladach.

Dziś śliczna rezydencja Cornara chyli się ku upadkowi.[1] Ząb czasu, może i niedbalstwo ludzkie, wyszczerbiły niejeden kamień, stłukły niejedną misterną ozdobę. Całość jednakże w klasycznych swoich linjach i rasowej wykwintności daje jeszcze złudzenie życia, wolne od tego smutku, który wieje zazwyczaj z opustoszałych, obumierających siedzib ludzkich. Może wywołuje takie złudzenie wiecznie młoda zieleń drzew, bluszczu i winogradu, która te mury wesołym otula splotem, a może działa tu i suggestja, wspomnienie, że właśnie w tych starych murach żył przed czterystu laty szczery i gorący chwalca starości i sam najpogodniejszy jej przedstawiciel.

Takim wzorem starca był bowiem Luigi Cornaro i takim objawia się nam w pozostawionej książce. Książka ta nie jest ani pierwszym, ani jedynym panegirykiem starości. W literaturze starożytnej przechował się słynny, a tak piękny traktat Cycerona *de senectute*. Tylko pisząc go, liczył Cycero dopiero lat sześćdziesiąt i jeden. Stał więc u progu starości, lecz sam jej jeszcze nie zaznał. Toteż nie na doświadczeniu, tylko na rozmyślaniu o starości snuł jej pochwałę, i nie sobie samemu, ale starszemu Katonowi kładł ją w usta, Katonowi, który, jak wiadomo, w pełnej czerstwości późnego dożył wieku. Zresztą, czytając traktat *de senectute*, nie podobna oprzeć się wrażeniu, że Cycero pisał go na osobistą pociechę. Stanął był bowiem właśnie na rozdrożu życiowem, odkąd dosięgająca

[1] Przed wojną zamierzała podobno dzisiejsza właścicielka tych budynków, hrabina Giusti-Giustiniani, poddać je gruntownej restauracji. Nie wiadomo mi, czy zamiar ten doszedł do skutku.

zenitu potęga Cezara zagrodziła mu przystęp do życia publicznego, do którego lgnął z zamiłowania, z przyzwyczajenia i — chociaż mu często na zręczności politycznej zbywało — z politycznego nawskróś temperamentu. Znamiennym jest więc już i sam układ rozprawy, kiedy na wstępie odeprzeć usiłuje zarzut, podnoszony przeciwko starości przez tych, którzy mówią, że »odwoływa ona od działalności publicznej«. Zbija to twierdzenie, przytaczając przykłady Appjusza Klaudjusza i innych Rzymian, którzy do późnego wieku polityczną odgrywali rolę. Ale ledwie w jednym rozdziale (VI) z tym zarzutem się rozprawia, a odtąd i aż do końca wielbi wszystkie inne przyjemności, przypadające rzekomo starcowi w udziale, jako to studja, dyskusje filozoficzne z przyjaciółmi, łagodne, wyzbyte już wszelkich namiętności współżycie — *convivium* — z nimi przy rozrywce skromnej biesiady, podsycanej rozmową, nie winem; wreszcie *voluptates agricolarum* — rozkosze rolnicze, — które protagonista dialogu, stary rolnik Kato, w ślicznym doprawdy kreśli obrazku. Tylko mimowoli mąci przyjemność tej niewolącej treścią i formą lektury natrętnie wciąż nasuwające się pytanie, czy ta idylla odnosi się rzeczywiście do starości, czy też to tylko takiemi złudnemi obrazami wyzłaca sobie przyszłe, niedobrowolne *otia* — senator na odstawce.

Inaczej Cornaro. Jako niezwykle światły i wykształcony człowiek z owych tak wielce w literaturze starożytnej rozmiłowanych czasów, znał on niezawodnie traktat Cycerona. Tem więcej mu za dobre poczytać należy, że mówiąc tyle o starości, nie naśladuje on, ani nie parafrazuje Cycerońskiej rozprawy, a to wbrew przyjętemu naówczas zwyczajowi, który na prozaikach humanizmu włoskiego wyciskał aż zbyt często ujemne piętno niewolniczego naśladownictwa. Nie idąc tym utartym torem, nabierają zato pisma Cornara odrazu cechy oryginalności i szczerości, która ujmuje czytelnika. Spuściznę jego literacką stanowią *Rozprawy o życiu wstrzemięźli-*

wem.[1] Rzecz składa się z czterech części: z samego traktatu, z dodanego doń później *compendium*, z listu do patrjarchy akwilejskiego, Daniela Barbaro, i z domówienia w formie egzorty. W przeciwieństwie do Cycerona, który, sam niedość jeszcze posunięty w lata, kładzie refleksje własne pod firmę doświadczeń sędziwego Katona Cenzora, mówi Cornaro za siebie i we własnem imieniu, a w każdej części swoich rozpraw zaznacza z naciskiem, ile lat liczył, gdy ją pisał. Miał ich więc ośmdziesiąt i trzy, kiedy pisał traktat, ośmdziesiąt sześć, kiedy dopełnił go przez *compendium*, dziewięćdziesiąt i jeden, kiedy wystosował list do Daniela Barbaro. A kiedy wreszcie kreślił domówienie, był już dziewięćdziesięciopięcioletnim starcem! Taki wiek — to zaprawdę nielada uprawnienie do wydania sądu o starości, a w tych zapiskach znać pozatem i tę niewinną, czerstwym starcom po wszystkie czasy właściwą próżność, z jaką wskazywać zwykli na wysoką liczbę przeżytych lat, których, podobnie jak u progu życia dzieci, dodaćby sobie raczej, aniżeli ująć byli skłonni.

Kiedy Cornaro w tak podeszłych latach brał pióro do ręki, wiek XVI dobiegał już do połowy, a wśród załamywania się politycznego Włoch i wśród ogólniejszej jeszcze katastrofy całego chrześcijańskiego społeczeństwa, rozdartego przez reformację, dogasały smutnie, jak po skończonej hucznej zabawie, światła, których blask olśniewał długo, wkońcu aż oślepiająco, wpatrzonych w nie ludzi z epoki Odrodzenia. Nadeszła chwila zwrotu w siebie, i wszystkie wyższe umysły jęły dociekać przyczyn złego i szukać na nie lekarstwa. Podobny proces wewnętrzny przebywać musiał także i Cornaro, biorąc pióro do ręki. Trojakie błędy wytykał on Włochom: dworskie pochlebstwo, otwieranie naoścież wrót naukom Lutra, i hulaszczy, niczem się nie krępujący sposób życia. Zwalczanie

---

[1] *Discorsi della vita sobria*. Pierwsze wydanie, w trzech częściach, w Padwie z r. 1558. Następnie liczne wydania w czterech częściach.

pierwszych pozostawiał przecież innym, »uczonym — jak się wyrażał — mężom«, sam zaś zwrócił się przeciw trzeciej przywarze, przeciw panującemu powszechnie obżarstwu i pijaństwu. Zbytki kulinarne znamionowały od początku epokę Odrodzenia i już w XV wieku narzekał w żartobliwej grze słów słynny Leonardo Bruni, że zawierając *matrimonium*, stracił *patrimonium* na bankiet weselny. Ale szczególnie u schyłku tej epoki w XVI stuleciu szerzący się zwyczaj ciągłego ucztowania stał się prawdziwym nałogiem.

Przyczyn zgorszenia mogła pod tym względem dostarczać poddostatkiem Cornarowi bliska, stołeczna Wenecja, gdzie współzawodnictwo bogatych patrycjuszów w wystawności i zbytku ujawniało się za lada okazją w Lukullusowych ucztach. Uszlachetniony ich obraz przechował się nam na niejednem z barwnych płócien Pawła Veronese. Ale w rzeczywistości były one oznaką rozpoczynającego się rozluźniania przysłowiowej energji i hartu Wenecjan, na szkodę ich czasu, pieniędzy i zdrowia. Bo do lśniących od złotej i srebrnej zastawy stołów, na które za świadectwem współczesnych wnoszono aż do ośmdziesięciu niekiedy rozmaitych potraw, zasiadali sproszeni biesiadnicy na długie, myśl i ciało ociężające godziny, a ulubione w Wenecji korzenie wschodnie, jak pieprz, cynamon, muszkatołowa gałka, gwoździki, imbier i t. p., któremi zaprawiano jadło, podniecały pragnienie i zmuszały do picia. Słusznie przypomina jeden z dzisiejszych badaczy [1] obyczajów dawnej Wenecji, że zupełnie podobnie niegdyś, bo na dwa prawie wieki przed naszą erą, zetknięcie się ze Wschodem jęło odrazu rozmiękczać obyczaje starych Rzymian. Znamiennie zaznaczał to już Liwjusz, kiedy narzekał, że wówczas *epulae quoque ipsae et cura et sumptu maiore apparari coeptae*; *tum coquus, vilissimum antiquis mancipium et*

[1] P. Molmenti, *La storia di Venezia nella vita privata* (Torino 1880).

aestimatione et usu, in pretio esse, et quod ministerium fuerat, ars haberi coepta.[1] Napróżno czujny zawsze rząd wenecki mnożył rozporządzenia przeciw podobnym zbytkom, zakazując n. p. biesiad w towarzystwie płci pięknej, jeżeli nie należała do rodziny, a to od września aż do końca karnawału; to znów nie dozwalając sprzedaży indyków, pawi i bażantów, albo pstrągów i innych niektórych gatunków ryb; lub wreszcie zabraniając strojenia stołów biesiadniczych cukrami i konfiturami »z wyjątkiem marcepanów i innych pospolitych smakołyków«. Jak wszędzie, tak samo i w Wenecji pozostawały przecież owe *leges sumptuariae* literą martwą, a znanym powszechnie jest opis uczty, zastawionej właśnie w owej epoce, i to w samychże apartamentach Rady Dziesięciu, na cześć uchodzącego z Polski Walezjusza: wszystko na stole królewskim, półmiski i talerze, noże i widelce, zrobione były z cukru, a gdy król sięgnął po serwetę, rozłamała mu się w ręku, bo była także sztuczką kucharską, cukrzanym zlepkiem, naśladującym płótno.

Kiedy Wenecjanie podejmowali w ten sposób Walezjusza, Cornaro nie żył już od lat kilku. Ale na podobne zbytki patrzały jego oczy za życia, więc rozpoczynając swój traktat *della vita sobria* zżyma się na nie, biada nad znieprawieniem Italji, gdzie, zdaniem jego, brak wstrzemięźliwości więcej corocznie pochłania ofiar, aniżeli morowe powietrze lub długa wojna, i szydzi z owych uczt potwornych, przy których, jak mówi, stołów już nie starczy, tak, że potrawy piętrzą się jedne na drugich i że spożywane w takich ilościach, z posiłku, co ich przeznaczeniem, stają się najgorszą trucizną. Tylko gniew jego prędko stygnie, bo jak sobie sam na innem znów zaświadcza miejscu, z biegiem lat wyzbył się gwałtownych unie-

---

[1] »I biesiady poczęto urządzać z większem staraniem i kosztem; poczęto cenić i szanować kucharza, zaliczanego przedtem do najpodlejszych posługaczy; i co było posługą, to uznano za sztukę« (Liwjusz III 39).

sień, do których był z natury skłonny, i zapomniał o żółci i jej zaburzeniach. Krótko więc gromi i grozi, zaraz zaś przechodzi do filantropijnej propagandy wstrzemięźliwości, a to z taką gorliwością i z takim zapałem, żeby mu pod tym względem żaden z dzisiejszych anglosaksońskich apostołów temperancji nie dotrzymał kroku. Siłą woli można, według niego, poskromić wszelkie zachcianki natury i pozbyć się wszelkich nawyknień, a sprowadzaniem wszystkiego do właściwej miary zdobyć sobie i posiąść skarb największy, jakim jest żywot długi i zdrowy. Żyjąc zamłodu tak, jak żyje wielu, bez powściągliwości i hamulca, dopiero około czterdziestki, kiedy przedwczesne delegliwości, zwiastuny starczego więdnięcia, na czas go jeszcze przestrzegły, zawrócił na swoje szczęście z manowców i wszedł na drogę »zbawczego umiarkowania«. Na tej też drodze pragnąłby stanąć jako drogowskaz dla innych.

Cornaro nie byłby pisarzem swojego wieku, gdyby zalecając innym stosowany przez siebie — jakbyśmy dziś powiedzieli — *regime*, nie folgował chwilami rozwlekłej nieco wielomówności. Tylko nie potrzeba zatrzymywać się dłużej nad jego wywodami, kiedy zapisuje, że mu szkodzą ryby i owoce, albo że w lipcu i sierpniu odczuwa szczególny, nieprzezwyciężony wstręt do wina, lub gdy opowiada, jak niekorzystnie wpłynęło mu na zdrowie, kiedy do wymierzonej sobie dobrowolnie trzyćwierciofuntowej racji dziennego posiłku — dodał na naleganie przyjaciół cztery łuty! Ale i w te ustępy wplata on zajmujące, znamienne dla epoki szczegóły. I tak n. p. stwierdza z rezygnacją, że wolnej woli w hartowaniu organizmu stanąć mogą wpoprzek gwiazdy i konjunktura ich przy urodzeniu człowieka. Tu już cofa się bez wahania do starych zabobonów astrologicznych, które przetrwały średnie wieki, pokutowały w XVI, a jakoby z nową siłą zakwitły w XVII wieku; bo wiadomo przecież, że jeszcze przy urodzeniu Ludwika XIV ukryty w pokoju Anny Austrjaczki nadworny astro-

log stawiał noworodkowi horoskop; a wiadomo także, że n. p. w Polsce, u progu sceptycznego XVIII stulecia, niejaki Stanisław Słowakowic z Biecza był »Astrologiey Ordynarjuszem« w *Collegium Minus* krakowskiem. Ale wzamian znachodzą się u Cornara nieraz i przebłyski późniejszych dużo doświadczeń nauki, gdy n. p. wspomina, jak zahartowanego umiarkowaniem organizmu rzadko się czepiają zarazki. Wszystkie te dydaktyczne wywody streszcza on zresztą w aksjomacie, że normalne życie ludzkie sto lat trwać powinno, że tej normalności warunkiem jest wstrzemięźliwość, a wstrzemięźliwości nauką owe stare, przytoczone przez niego włoskie przysłowie, iż »potrawa którą się zostawia na stole, bardziej zdrowiu służy, aniżeli ta, którą się zjadło«.

Z pewnej pedanterji, z jaką zaleca swoją doktrynę o wstrzemięźliwości, wyzwala się jednak Cornaro zupełnie z chwilą, kiedy wskazuje na tej doktryny rezultat, czyli na swoją własną piękną starość. Na jego nauki odpowiadano bowiem z wielu stron, że nie warto jakąkolwiek krępującą ofiarą przedłużać sobie życia, kiedy po sześćdziesiątym mniej więcej roku staje się ono i tak powolnem już tylko obumieraniem. Z młodzieńczym zapałem, choć już ósmy minął mu krzyżyk, chwyta więc za pióro, ażeby nakreślić obraz czerstwej swej sędziwości. »Niechaj przyjdą — woła, — niech mi się przypatrzą, a zdumieją na widok, jaki jestem zdrów jeszcze i żwawy, jak lekko dosiadam konia, jak szybko biegnę na schody, lub na pagórki, jak nie opuszcza mnie nigdy swoboda, wesołość i zadowolenie. Pozbyłem się wszelkiej zgryźliwości, odegnałem precz czarne myśli, a spokój i pogoda zamieszkały mi w umyśle i w sercu na zawsze. Lubuję się w obcowaniu z światłymi i uczonymi ludźmi, a gdy ich nie mam wokoło siebie, to chwytam za książkę i doborową lekturą rozszerzam własne wiadomości, aby się stać pożytecznym moim bliźnim. Na wszystko znajduję czas odpowiedni, a wszelka robota składnie mi idzie w tym moim domu, który sobie postawiłem w najpiękniejszej

dzielnicy uczonej naszej Padwy, a który, zbudowany według wszelkich reguł architektury i ubezpieczony zarówno przeciw zbytniemu zimnu, jak przeciw nadmiarowi ciepła, w piękności i wygodzie nie ustępuje chyba żadnej innej budowie z naszych czasów... Co rok na wiosnę i w jesieni zażywam wczasów na jednem z najładniejszych wzgórzy Euganejskich, gdzie dokopałem się wody, założyłem ogród i zbudowałem sobie willę. Oddaję się tam czasami łowom, które mi są miłą i łatwą rozrywką. Ale mam jeszcze i drugą willę, na płaszczyźnie, w dolinie Brenty. Zbiega się tam kilka gościńców, a w miejscu, gdzie się krzyżują, zbudowałem w pośrodku piękny kościół. Wzdłuż strumienia ciągną się żyzne łany, wznoszą schludne domki, a to w okolicy, gdzie do niedawna były zgniłe tylko moczary, siedziby dla wężów, ale nie dla ludzi. Ja to sam odprowadziłem stamtąd wody, osuszyłem ziemię i oczyściłem zatrute wyziewami powietrze, aż sprowadzili się ludzie, zamieszkali tam i poczęli uprawiać te dawne pustkowia. Toteż zaświadczyć sobie zaprawdę mogę, że na tem miejscu pobudowałem Bogu świątynię i ołtarz, powołałem ludzi, aby Go tam wzywali i wielbili, i dokonałem dzieła, którego widok podnosi mi zawsze i uwesela serce«...

Czy w tej triumfalnej radości nad zdobyciem nieużytej ziemi pod pracę i na pożytek ludzki nie brzmi już ta sama nuta, która po trzech prawie wiekach odezwie się na innem miejscu, a odezwie o tyle wspanialej i donioślej? Po setnych zawodach w gonitwie za szczęściem, w dokonaniu podobnego dzieła — *betätigend mit klugem Sinn der Völker breiten Wohngewinn* — uzna starzejący się Faust, że nie żył napróżno, że »ślad jego dni nie rozpłynie się w eony«, i wymówi wreszcie fatalistyczne zaklęcie, aby czas powstrzymać w biegu, słowa oznaczające spełnienie własnego żywota, ale i żywota tego kres.

Nad tem, jako wielki humanitarny cel pojmowanem i uszczęśliwiającem go zdobywaniem i użyźnianiem odłogów

pracował Cornaro nietylko u siebie i dla siebie, ale i na szerszą skalę w służbie Rzeczypospolitej. Służył także rządowi weneckiemu radą przy fortyfikowaniu weneckiego portu, i do tych robót nad utrzymaniem laguny odnosi się pozostały w jego literackiej spuściźnie *Traktat o wodach.*[1] Toteż z dumą i z uczuciem gorącego patrjotyzmu, którego ślady u ówczesnych autorów tak zresztą bywają rzadkie, wskazuje on w starości na zasługi, jakie położył około ojczystego miasta, stwierdza, »jaką rozkoszą dla niewinnej ambicji« jest mu poczucie, że »przyczynił się do wzrostu potęgi, bogactwa i piękności« ukochanej Wenecji. Do miast sąsiednich, szczególnie zaś do stołecznej Wenecji, często też zaglądał. »Chętnie — opowiada — odwiedzam przyjaciół, a przez nich stykam się i zapoznaję z tylu niepospolitymi ludźmi, widuję malarzy, budowniczych, rzeźbiarzy, muzyków i rolników. Oglądam, co nowego stworzyli, patrzę i na to, co już widziałem, i zawsze się czegoś nauczę, zwiedzając jaki nowy pałac lub ogród, jaki kościół lub jaką twierdzę obronną«. A miał zaprawdę na co patrzyć, w onej połowie XVI w., kiedy Wenecja stała u zenitu artystycznego rozwoju, kiedy Sansovino kończył właśnie budowę *librerii* i *loggietty* i stroił je posągami, kiedy Sammichieli stawiał na *Canal Grande* pałac dla rodu Grimani, a Palladio przygotowywał już plany tak znaczących w nieporównanym obrazie Wenecji kościołów: S. Giorgio Maggiore i Redentore; kiedy Tycjan, Tintoretto i młody jeszcze naówczas Paweł Veronese, a za nimi cała plejada malarzy, zdobili ołtarze świątyń weneckich, a roztaczali na ścianach pałacu dożów historyczną apoteozę Wenecji. Dziwnie to żyzna chwila, bo zdawało się istotnie, jakoby jesień Odrodzenia zestrzeliła wszystkie blaski różnolitych swych barw na zapóźnioną w współzawodniczym wyścigu sztuki po innych miastach włoskich Wenecję. A jakby na pożegnanie Odrodzenia, zwracali się tam raz jeszcze San-

[1] L. Cornaro, *Trattato delle acque.*

sovino i Sammichieli, po nich Palladio i Scamozzi do tradycji starożytnej i reguł Witruwjusza, i wielbili w swych tworach prostą, klasyczną linję, którą niebawem patetyczna lub swawolna naprzemian, a zawsze bujna i zmyślna fantazja baroku miała wygiąć, poprzecinać i złamać.

Szkoda, że ścisła forma dydaktyczna traktatu krępuje Cornara, że nie zbacza on w nim nigdy do rodzaju pamiętnikowego, nie zapisuje nic o życiu i o ludziach ówczesnej Wenecji, ani nie mówi o jej artystach, na których powstające dzieła patrzał przez sto lat prawie, począwszy od Lombardich, Vivarinich i Bregnów, aż do Palladia, Pawła Veronese i Aleksandra Vittorii. A z pewnością odwiedzał Tycjana, z którym go stwierdzone łączyły stosunki, w domu jego *in Birri*, w ustronnej dzielnicy San Canciano; tam z portyku w ogrodzie roztaczał się daleki widok na Murano, na Campo Santo i na cichą lagunę, którą budził często odgłos zabaw, kiedy mistrz spraszał do siebie artystów i literatów weneckich na wesołe uroczystości, gdzie królowała urodą tylekroć przez niego portretowana córka jego, Lavinia, a wdziękiem i talentem muzycznym uwielbiana przez wszystkich ówczesnych pisarzy, zmarła w kwiecie wieku, Irena de Spilimbergo. Tak samo musiał znać Cornaro i drugie ówczesne środowisko intellektualne i artystyczne Wenecji na Calle S. Basso, w pobliżu starych prokuracyj, gdzie mieszkał »miły Bogu i ludziom, — a w rozmowie o jakimbądź przedmiocie wymowny zawsze i świetny«[1] Jakób Sansovino. I Tycjan i Sansovino byli tylko o kilka lat od Cornara młodsi, obaj, podobnie jak on, dożyli w pełnej czerstwości podeszłego wieku, — ale chyba nie według zalecanych przez niego życiowych reguł wstrzemięźliwości, bo autorowie współcześni wspominają chętnie o wykwintnych biesiadach, jakiemi pierwszy w domu swoim *in Birri*, drugi

[1] G. Vasari, *Le vite de' più eccelenti pittori, scultori ed architetti*, Firenze, ed. Milanesi, 1878.

na Calle S. Basso podejmowali gości, a przy których rej wodził zaprzyjaźniony z jednym i drugim, cyniczny i hulaszczy Aretino.

W cichej Padwie spokojnie płynęło życie. Ale powszechne wówczas w wyższych sferach zamiłowanie do sztuki i literatury dzielił i Cornaro w całej pełni. Wiemy, że ze swym budowniczym Gian Marią Falconetto w ścisłej żył przyjaźni, że go wraz z rodziną przez szereg lat we własnym domu ugaszczał i razem z nim w artystycznych celach do Rzymu i do innych miast włoskich jeździł; wiemy dalej, że w zażyłych pozostawał stosunkach ze Speronem Speroni, nauczycielem logiki i filozofji w szkole padewskiej, którego mitologiczna tragedja *Canace*, osnuta na wstrętnym temacie kazirodczej miłości bliźniej pary dzieci Eola, uchodziła u współczesnych za arcydzieło dramatycznej sztuki; wiemy również, że wielkiego naówczas wzięcia zażywający autor ludowych komedyj, które sam grywał, Antonio Beolco, zwany *il Ruzzante*, czyli »żartowniś«, na willegiaturze u Cornara, pomiędzy wieśniakami z okolic Padwy, uczył się ludowego dialektu, w którym przemawiają osoby jego dramatu; wiemy wreszcie z własnych jego zeznań, że i on sam, Cornaro, w ośmdziesiątym trzecim roku życia napisał, zaginioną dziś niestety, »nader ucieszną, pełną przystojnych żartów komedję«. Zapisuje to znowu w poczet owych zdobyczy, których mu wysłużona wstrzemięźliwością czerstwość przysparza: »bo — mówi — pisanie komedyj bywa zresztą rzeczą młodych, a tragedyj rzeczą starych; więc jeżeli za chlubę poczytywano onemu staremu Grekowi (Sofoklesowi), że w siedmdziesiątym trzecim roku życia napisał tragedję, to czyż ja, który jeszcze o dziesięć lat więcej liczę, nie muszę być i zdrowszy i weselszy od niego?«

A wśród zachwalań różnorodnych pociech, jakie mu krzepka starość niosła, wielbi Cornaro i to, o czem inni współcześni pisarze zazwyczaj milczą: słodycz rodzinnego życia. »Ażeby — mówi — w podeszłym wieku na żadnej nie zby-

wało mi pociesze, w potomstwie mojem mam przed oczyma ciągle jakby upewnienie ziemskiej już nieśmiertelności. Kiedy wracam do domu, wita mnie tam jedenaścioro wnuków. Zrodzeni z jednego ojca i jednej matki, liczą oni od dwóch do ośmnastu lat, a zdrowi są na duszy i ciele, zdolni i obyczajni. Jednego z młodszych obrałem sobie na wesołka *(buffoncello)*, jako że dzieci od trzeciego do piątego roku życia są urodzonemi błazenkami, i tego mam zawsze przy sobie. Starsi natomiast wyrośli mi już na miłych towarzyszy, a że śliczne mają głosy, więc słucham z lubością, kiedy śpiewają, przygrywając sobie na rozmaitych instrumentach. Co więcej, sam się nieraz do ich chóru przyłączę, bo głos mój brzmi dziś jeszcze jaśniej i dźwięczniej, niż kiedykolwiek. Wielorakie są rozkosze mojej starości: żyję życiem żywem, a nie martwem, i nie mieniałbym za nic w świecie takiej starości na młodość tych, którymi miotają niepokoje i namiętności«.

Że taki filozof życiowy, jak Cornaro, zgłębić musiał do dna i ostatni życiowy problem, problem śmierci, to rzecz naturalna. Ale i to zagadnienie rozważał z pogodnym spokojem. Skarga Joba, pesymizm tragików greckich, pogarda dla doczesności średniowiecznych mistyków, to były uczucia i przejawy nieznane ludziom z epoki Odrodzenia. Tylko u nich z kultu życia własnego wyradzało się aż zbyt często lekceważenie życia drugich. Szlachetniejszy Cornaro według ceny swojego życia oceniał życie bliźnich, chciał stać się dla nich wcieloną radą i przykładem. Napisał gdzieś nowoczesny pesymista, Schopenhauer, że kiedy zamłodu ma się przed sobą życie, to na starość ma się już wprawdzie tylko śmierć, ale że pytanie, co jest z dwojga groźniejszem, i czy życie nie jest czemś, co lepiej mieć poza, aniżeli przed sobą. Takiego żalu do życia za trudy i bóle, które z sobą niesie, nie byłby zrozumiał Cornaro. Bliższym byłby mu przeciwległy temu, a tak bardzo zresztą ludzki, choć na innych przesłankach oparty aforyzm, który w sto lat po nim kreślił dowcipny Bussy-Rabutin, pi-

sząc w jednym z swych listów do pani de Sévigné: *il faut vivre, ma chère cousine; la première et la plus importante affaire qu'on ait en ce monde, c'est d'y rester.*

I Cornaro twierdzi bowiem, że każdy powinien dążyć do jak najdłuższego życia, jako do naturalnego przeznaczenia człowieka. Zgadza się on tu z Cyceronem, który w rozprawie swej *de senectute* porównywa śmierć młodzieńca do ognia, gwałtem zalanego wodą, śmierć starca natomiast do płomyka, który sam w sobie dopala się i gaśnie. Na takie ciche, bezbolesne zgaśnięcie liczy również w sędziwości swojej Cornaro. Nie lęka się śmierci, bo w ciągu długiego życia myśl z nią oswoił i zrozumiał, »że niepodobna, ażeby czas, który wszystko niszczy, nie zniszczył także choćby najsilniejszego ciała, i żeby, co miało początek, nie miało końca«. Takie spokojne poddanie się śmierci, której ujść nie można, w dosadniejszy swój sposób zaleca w *Żywocie poczciwego człowieka* i nasz Rej, kiedy pisze, że »mądry a rozważny człowiek nie wiem czemu się tego lękać ma, co jest powinien, a pewnie powinien, kiedy tedy uczynić, jako dłużnik, który się bliskich gód lęka. A lękaj się ty, jako chcesz, bo jeśli nie na gody, tedy pewnie na środopoście albo wiosce puknąć, abo się workowi wytrząsnąć«. Jak Cycero, tak i Cornaro widzi wreszcie w śmierci, przychodzącej po długiej starości, najpiękniejsze rozwiązanie, prawdziwą *euthanasię*, »kiedy natura, jakby sama przez się, jakoby zmęczona życiem, usypia; bo jak zadzierżgnęła ona niegdyś życia naszego węzły, tak je znów rozplata, a rozplata łagodnie, powoli i lekko«.

Ale w poglądzie na śmierć pomiędzy starożytnym Rzymianinem a człowiekiem XVI wieku zachodzi inna, zasadnicza różnica. Cycero mniema, że śmierć albo lekceważyć sobie można, »jeżeli zupełnie ducha gasi« — *si omnino extinguit animum,* — lub że owszem życzyć jej sobie należy, jeśli — jak dodaje, idąc w ślad za Platonem wedle nieśmiałych jeszcze wówczas eschatologicznych przebłysków — »doprowadzi go tam, gdzie będzie wiecznym« — *ubi sit futurus aeternus.*

Cornaro buduje już na opoce Objawienia i wiary, a staje się prawdziwie wymownym, kiedy w dziewięćdziesiątym piątym roku życia na końcu swojej rozprawy z zapałem woła: »Już tu na ziemi mam udział w życiu wiecznem, bo szczęśliwość onego życia tak sobie często rozważam i uprzytomniam, że wszystko inne maleje mi w oczach i znika. Dla mnie śmierć jest koniecznem przejściem do Nieba, więc z radością czekam na to przyszłe wspaniałe wywyższenie, którego dusza moja wygląda tęskliwie«.

C'est de la cervelle, que vous avez là — mówiła podobno w XVIII wieku słynna z dowcipu pani de Tencin, kładąc rękę na sercu rozmawiającego z nią Fontenella. Mózg na miejscu serca zdają się mieć także ludzie z epoki Odrodzenia w XV, a po części jeszcze i w XVI stuleciu. Ziarno, rzucone w epoki tej świtach ręką Dantego i Petrarki, które wschodziło zrazu tak bujnie, zachwaściły zczasem pycha, zawiść, często bezwstyd humanistów, z późniejszych mianowicie czasów, owych zwyrodniałych wychowawców, kierowników i sędziów społeczeństwa, pośród którego żyli. Na tle tej ogólnej oschłości dusz, do jakiej je doprowadziły spaczone ich doktryny, — oschłości, której nie mogła okupić świetność zewnętrzna, połysk marmurów lub barwność płócien, sypanych jeszcze szczodrze z pracowni artystów owej epoki, bliskiej przekwitu, rysują się tem dodatniej wyjątki. Są niemi ci, którzy się ocknęli na złowrogi łoskot, kiedy reformacja poczęła bić jak taranem w mury świątyni. Do rzędu ich należy Luigi Cornaro. Z prądów Odrodzenia zaczerpnął on to, co w niem było najlepszego: szeroką wiedzę i zamiłowanie piękna. A jeżeli, jako pisarz, ani subtelnością pomysłów, ani elegancją formy nie dorównywa wielu ze współczesnych mu autorów, to przewyższa ich o całe niebo szczerością i prawdą, któremi czytelnika pociąga i niewoli. Miłość Boga i bliźnich, przywiązanie do rodzinnego miasta, poważny pogląd na życie, a pogodny na śmierć, wskazują, że miał nietylko głowę, ale i serce.

Prawie stuletni umarł Cornaro w r. 1566 w Padwie.

SPIS ILUSTRACYJ

Str.

I. Rycerz rodyjskiego Zakonu św. Jana (Alberto Arringhieri), według fresku Pinturicchia z katedry w Sienie. (Na okładce).

II. Mahomet II, według portretu Gentilego Bellini z galerji Layard w Wenecji . . . . . 8—9

III. Pius II, według fresku Pinturicchia z Librerji katedry w Sienie (malow. w r. 1505—1506) . . . . . 28—29

IV. Karol VIII, według minjatury z oprawy modlitewnika z XV w., ze zbiorów Bibliothèque Nationale w Paryżu . . . . . 60—61

V. Katarzyna Cornaro, według portretu Gentilego Bellini z galerji w Peszcie . . . . . 94—95

VI. Luigi Cornaro, według portretu Tycjana lub Tintoretta z galerji Pitti we Florencji . . . . . 112—113

SPIS RZECZY

Str

Epilogi krucjat w XV wieku
I. Po wzięciu Konstantynopola 5
II. Śmierć Piusa II. 13
III. Dżem 34
IV. Wyprawa Karola VIII na Włochy 56
Wenecjanie na Cyprze 85
Apologeta starości z XVI wieku 109

Spis ilustracyj 129

Biblioteka Wojskowa
Nr. 86.
49 PUŁK PIECHOTY

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
9715/1